CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK IV. WARSZAWA, 1 Marca 1939 R. NR 7-8

Drogi rozwoju Włoch i Polski

„Nauczyłem się myśleć historycznie, studiując zjednoczenie Włoch" — pisał przed laty trzydziestu Stanisław Brzozowski w „Legendzie Młodej Polski".

Zdanie to za Brzozowskim mogłoby powtórzyć wielu z tych, którzy w okresie niewoli i rozbiorów, szczególniej w ostatnim ich etapie, szukali w Polsce dróg ku zjednoczeniu i niepodległości.

Analogie pomiędzy położeniem Włoch i Polski w okresie naszej niewoli narzucały się nieodparcie. Oba narody miały za sobą wielką przeszłość. Oba przeżywały okresy rozbicia i spętania, w których ziemie ich były dla obcych niczym więcej, jak tylko „pojęciem geograficznym". Oba wreszcie nie wyrzekły się nigdy dążeń ani do zjednoczenia, ani do wolności.

Dzieje wyzwolenia i zjednoczenia Włoch były dla Polski w ostatnim okresie jej niewoli szczególnie pouczającym fragmentem historii powszechnej. Nie było też bynajmniej dziełem przypadku to wielkie przemieszanie wzajemnego ofiarnego uczestnictwa w walkach wyzwoleńczych, jakie zaznaczyło się w historii Włoch tradycją uczestnictwa w walkach włoskich wielu żołnierzy i oficerów Polaków-emigrantów, czy symbolicznym Legionem Mickiewicza; w walkach polskich — przelaną krwią pewnej liczby najszlachetniejszych patriotów włoskich z Franciszkiem Nullo na czele. Nie było też przypadkiem, że pierwszy zdecydowany głos w sprawie niepodległości Polski w dobie wojny światowej był podniesiony właśnie w parlamencie włoskim.

Lecz na tych stosunkowo dobrze znanych i często wspominanych analogiach okresu niewoli nie kończy się łańcuch historycznych podobieństw pomiędzy drogami rozwoju Włoch i drogami rozwoju Polski. Istnieje jeszcze nie mniej istotna, dla nas szczególnie ważna i pouczająca, dziedzina analogii, która jest i powinna być czymś więcej, niżeli tylko wspomnieniami przeszłości.

W dobie niewoli studiowaliśmy dzieje zjednoczenia Włoch, na nich się ucząc myśleć historycznie. Dzisiaj dla naszej zdolności historycznego myślenia nie będzie zapewne rzeczą zbędną zwracanie bacznej uwagi na dzieje naturalnego i stopniowego rozwoju siły włoskiej, woli włoskiej, włoskiej zdolności realizacji celów narodowych.

Włochy dzisiejsze są wielką potęgą Europy. Ta prawda nie potrzebuje już dziś uzasadnienia. Potęgą tą się jednak nie zrodziły. Stawały się nią w długim i uciążliwym wysiłku. Podobnie jak i my „terminowały długo u różnych przemożnych potęg", błądziły, nie doceniały swej siły i z niej płynących konsekwencji, pozwalały się wyprzedzać w wyścigu pracy i energii, jednak — pomimo błędów, wewnętrznych niedomagań, trudności przełamania charakteru narodowego — szły niewstrzymanie naprzód, bo miały w sobie rzecz najcenniejszą w historii: zasób naturalnych sił rozwojowych, które im narzucały konieczność potęgowania dążeń i zadań państwowych.

Oto jak pisze o pierwszym okresie historii Włoch po zjednoczeniu polski historyk tego zjednoczenia: „Nowe państwo, wyprowadzone z nieokreśloności pojęcia geograficznego, wysunięte nagle na widownię dziejową, miało wiele powikłań do pokonania. Choć z tytułu swej rozległości i liczby ludności państwo pierwszorzędne, Włochy nie miały pełnego uznania w Europie, wciąż jeszcze, zwłaszcza przez Francję, traktowane w charakterze klienta — uchodziły za mocarstwo mniejszej wagi. Trudności wewnętrzne były nie mniejsze od zewnętrznych".[1])

[1]) Marceli Handelsmann Zjednoczenie Włoch. Biblioteka Składnicy. Warszawa.

Przytoczyliśmy tutaj fragment z przedstawienia sytuacji europejskiej Włoch przed laty niespełna osiemdziesięciu, w pierwszym okresie po ich zjednoczeniu i wyjściu „z nieokreśloności pojęcia geograficznego". Gdybyśmy w opisie tym zmienili tylko nazwę państwa, którego opis ten dotyczy, moglibyśmy sądzić, że jest to obraz naszej własnej sytuacji politycznej sprzed lat niewielu. A jednak historia idzie naprzód. Po pierwszym okresie przezwyciężania trudności wewnętrznych i przełamywania niechęci Europy do uznania istotnej siły i istotnego znaczenia nowego państwa musiał nastąpić okres drugi: szukania dróg dla rosnącej nieustannie prężności sił narodowych Włoch. Dzisiaj jesteśmy już w okresie trzecim: w okresie wielkiego dynamizmu i szybko postępującego wzrostu znaczenia państwa, które przed laty osiemdziesięciu było „pojęciem geograficznym", przed laty czterdziestu z trudem starało się otworzyć dla siebie najskromniejsze choćby drogi ekspansji, przed laty dwudziestu nie było jeszcze w stanie przeprowadzić skutecznej obrony owoców wspólnie osiągniętego zwycięstwa, — dziś — jest jednym z głównych czynników współczesnej historii.

*

Historia idzie naprzód. Patrząc na drogi rozwoju Włoch, musimy i powinniśmy myśleć o przyszłych drogach Polski. Dzisiaj już mamy za sobą epokę wstępnych trudności. Przed sobą mamy jednak szereg dalszych etapów i możliwości, których nie odczuwamy jeszcze jako bezpośrednich zagadnień dnia dzisiejszego, lecz których jutrzejsze znaczenie możemy i powinniśmy już dziś doceniać.

Warunki geograficzne i polityczne Polski dzisiejszej nie są inne, niżeli były warunki

geograficzne i polityczne Włoch w chwili, gdy — jako realna rzeczywistość i konieczność — stanęło przed nimi zagadnienie szukania racjonalnego ujścia dla nadmiaru sił i energii narodowej, długo rozpraszanej — podobnie jak siły i energia Narodu Polskiego — przede wszystkim w bezładnym i chaotycznym poszukiwaniu terenów emigracyjnych.

Podstawa terytorialna Polski współczesnej większa jest o przeszło 25% powierzchni od pierwotnej podstawy terytorialnej Włoch zjednoczonych. Obecna liczba naszej ludności wyższa jest nieco, niżeli była liczba ludności europejskiego terytorium tego państwa jeszcze w roku 1910. Stąd też — patrząc na wzrost mocarstwowego znaczenia Włoch w ostatnich dziesięcioleciach, patrząc na nadmiar szukającej ujścia energii włoskiej — myśleć musimy o tym, że tego rodzaju etapy nie tylko mogą, lecz zapewne i muszą stanąć również i przed Polską, przy czym mogą być zagadnieniem stosunkowo nie tak dalekiej przyszłości.

Przy porównaniu bowiem dróg rozwojowych państwowego znaczenia Włoch z dzisiejszymi warunkami polskimi pamiętać musimy i o tym, że ogólne warunki polityczne w Europie są dzisiaj bardziej zmienne i bardziej niespokojne, niżeli w drugiej połowie wieku XIX, czy w pierwszym dziesięcioleciu XX. Stąd też musimy liczyć się nie tylko z możliwością, lecz bodaj z koniecznością szybszego tempa wzrostu naszych sił i stojących przed nami zadań, niżeli miało to miejsce w stosunku do odrodzonego przed osiemdziesięciu laty państwa włoskiego.

Na marginesie dzisiejszych dyskusji o stosunkach i podobieństwach polsko-włoskich warto jest więc zaznaczyć i ten moment, że podobnie jak przed laty trzydziestu historia zjednoczenia Włoch mogła być dla nas wartościową szkołą historycznego myślenia w zakresie walki o wolność i zjednoczenie, tak dzisiaj z dalszej ewolucji historii Włoch muszą dla nas płynąć wnioski w zakresie konieczności myślenia o naszej przyszłości nie tylko pod kątem dzisiejszych bezpośrednio przed nami stojących problemów, lecz i pod kątem jutrzejszych zadań, wynikających z faktu, że podobnie jak wskutek naturalnych warunków rosły w ciągu dziesięcioleci siły włoskie, tak rosną i długo jeszcze rosnąć będą siły i z nich się rodzące zadania i potrzeby Polski.

Spór o dwie książki*)

Dyskusja o kierunku życia polskiego

(s.) Dwie książki zupełnie odrębnego typu, mówiące o biegunowo różnych zjawiskach. Jedna z nich znanego i szczególnie popularnego autora, o charakterze reportażu, nastawionego na szukanie w przestrzeni i w czasie wszystkiego, co w Polsce najprężniejsze, najpełniejsze inicjatywy i życia — książka skondensowanej wiary w przyszłość, skondensowanego optymizmu

Druga: pamiętnik młodego lekarza, zgłoszony na konkurs Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Napisany żywo i z widoczną starannością o zupełną wierność obrazu, nasuwa sporo refleksyj różnego typu. Autor chętnie posługuje się barwami i wyrażeniami jaskrawymi. Oczywiście — oczywistość ta wynika niejako z charakteru zawodu — przeważają barwy ciemne. Lekarz społeczny, szczególnie w miejscowości podmiejskiej, to lekarz tych, którzy walczą równocześnie z chorobą i nędzą. Ani choroba, ani nędza nie należą do rzeczy przyjemnych, cóż dopiero jeżeli występują łącznie. Stąd też obrazy przedstawione przez d-ra Mieczysława Pestę nie mogą przypominać sielanki, tak jak jej nie przypomina na ogół nawet słynna „Księga z San Michele", pamiętnik lekarza arystokraty swego zawodu, dla którego kontakt z nędzą jest tylko kontrastowym tłem, na którym lepiej uwydatnia się normalne środowisko pacjentów-bogaczy.

Dwie omawiane tu książki nie miałyby pozornie ze sobą nic wspólnego, poza może tylko zbiegiem okoliczności, że przedmowę do skromnego tomiku „Piasków" napisał — z całym zresztą bogactwem charakterystycznego sobie stylu — Autor imponującej, luksusowej „Sztafety". Znalazło się jednak jeszcze i inne powiązanie tych dwóch tak różnych książek. Oto książka d-ra Pesty stała się w rękach felietonisty wileńskiego „Słowa" jednym więcej argumentem do walki z tezami optymistycznej „Sztafety". W wyniku obszernego, ciągnącego się przez 3 numery pisma artykułu p. t. „Siejba na Piaskach" (NrNr 40, 41 i 42 „Słowa"), p. Jerzy Wyszomirski dochodzi do następującej konkluzji:

> „Pamiętnik d-ra Pesty spełnia jedną doniosłą rolę: obnaża nasze zakłamanie, o którym pisałem na wstępie. Pokazuje mianowicie, że nasze życie polskie nie pędzi naprzód zawrotnymi „sztafetami", lecz w najoczywistszy sposób dziczeje. Za ten obraz zdziczenia, czyli za prawdę, należy się wdzięczność ZUS-owi, który wśród swych lekarzy rozpisał pożyteczny konkurs".

I tutaj dochodzimy już do punktu, przy którym ocena literacka takiej czy innej książki staje się już czymś wtórnym, mało istotnym. Na plan pierwszy wysuwa się strona społeczna zagadnienia.

Teza postawiona przez recenzenta „Słowa", teza zresztą systematycznie przez to pismo broniona jest: „życie polskie w najokropniejszy sposób dziczeje". Ważne jest to, co służy dla potwierdzenia tej tezy, szkodliwe — co jej się sprzeciwia. Stąd pożyteczną jest książka d-ra Pesty, szkodliwą wańkowiczowska „Sztafeta".

Czy jednak istotnie książka d-ra Pesty tak bardzo i tak bez reszty tezę tę potwierdza?

Poszukajmy naprzód odpowiedzi na powyższe pytanie w przesłankach, na których p. Wyszomirski oparł swe twierdzenie.

Pierwszą przesłanką p. Wyszomirskiego jest tu charakterystyka pacjentów. Pisze o nich (p. Wyszomirski — nie p. Pesta) jak następuje:

> „W pacjentach tych uderza, zdumiewa i przeraża ich brutalność, nawet chamstwo i nieprawdopodobna skłonność do oszukiwania lekarza na wszelki sposób".

A dalej — po przytoczeniu kilku przykładów:

> „Dla takich pacjentów nie można urządzać gabinetu: wszystko poniszczą, podrapią, zabłocą, zaplują; ponadto kradną, nawet serwety ze stołu i karafki z wodą.
>
> Ale straszniejsze jest to, że wszyscy oszukują. Symulują choroby, podnoszą sobie sprytnymi sposobami temperaturę do 39 stopni, preparują plwocinę do analizy tak, by wykazywała prątki gruźlicze, udają boleści żołądka i boku — wszystko w tym celu, by zyskać długotrwałe zwolnienie z pracy i zasiłki. Ponadto oszukują na uprawnieniach, przynosząc do lekarza cudze dzieci, które podają za swoje, wpisując nielegalne żony, wyciągając na listę rodziny ubezpieczonych fikcyjne osoby itd. itd. Nieróbstwo, wykręcanie się od pracy, lenistwo, pogoń za zasiłkiem, chamstwo i oszustwo — oto z nielicznymi wyjątkami — „społeczeństwo", śród którego przychodzi pracować lekarzowi ubezpieczalni".

Przedstawiliśmy ten inferialny obraz słowami p. Wyszomirskiego. Dla ścisłości pragniemy tylko zaznaczyć, że pomiędzy tym skondensowanym obrazem i obrazami książki istnieje pewna różnica: dr Pesta, podając powyższe fakty, przeważnie podaje również i pewne uzasadnienie podłoża, na którym one wyrosły. Równocześnie dr Pesta podkreśla wyraźną różnicę pomiędzy okresem objęcia przez siebie stanowiska i stanem z chwili pisania książki, po roku pracy. Nad tymi stwierdzeniami p. W. przechodzi do porządku dziennego, stwierdzając coś wręcz przeciwnego, mianowicie:

> ...„powiada starożytna maksyma: większość zwycięża zawsze lepszość. Większością są pacjenci — złą, ujemną większością; drobną, pojedyńczą „lepszością" jest kulturalny lekarz, który do nich przybywa z najlepszymi zamiarami i staje się takim samym dzikusem, jak oni".

---

*) Melchior Wańkowicz: „Sztafeta". Biblioteka Polska. Warszawa. Rok 1939. Str. 530.
Mieczysław Pesta: „Piaski". „Rój". Warszawa. 1939. Str. 160.

Jednym słowem program całkowitej beznadziejności. I wniosek: „za ten obraz zdziczenia, czyli za prawdę, należy się wdzięczność ZUS-owi".

*

Jakaż jest jednak ta prawda istotna?

Obie rozpatrywane tutaj książki są swoistymi „sztafetami" odrębnych działów pracy polskiej. Nie będziemy tutaj pisali obszerniej o „Sztafecie" Wańkowicza, której szereg elementów składowych mieliśmy możność drukowania na naszych łamach. Książka ta powstała z szeregu luźnie pomyślanych artykułów o COP., o Zaolziu. Tytuł otrzymała już po napisaniu, więcej — na skutek systematycznego rozszerzania i pogłębiania tematu: „Czując temat jak narastanie nowego słoju w drzewie narodowym, dałem tej mojej książce tytuł „Sztafeta" — pisze we wstępie Autor. „Jutro już ta sztafeta będzie dalej niż książka, pojutrze jeszcze dalej. Przecież w świadomości naszej musi się żłobić szlak pędu, jego linia. Byśmy wiedzieli, że nie na nas się poczyna i nie na nas się kończy. Byśmy czerpali stąd pokorę i siłę".

Książka ta jest książką o polskim dorobku i o Polsce na dorobku. Rejestruje rzeczy o różnej wadze i różnym ciężarze gatunkowym. Cieszy się z każdego powiedzenia, nie przemilcza i niepowodzeń, lecz po to, by snuć z nich wiarę, że nauka nie będzie daremna. Jej tezą nie jest bynajmniej teza o naszej nieomylności, doskonałości, genialności. Jest tylko wiara w to, że tam, gdzie się buduje na pustkach, gdzie się wypełnia zaniedbania przeszłości, tam i „błędy nie dyskwalifikują pracy. Często są one nawet zaszczytnymi bliznami poniesionymi w boju o postęp gospodarczy".

Postęp gospodarczy jest głównym przedmiotem zainteresowania książki Wańkowicza. Nie jest on jednak zainteresowaniem wyłącznym. Książka porusza i obejmuje sobą również i inne dziedziny, wzbierając — jak rzeka — dopływami różnych tematów, bogacąc się elementami coraz to nowych spostrzeżeń, przeżyć i zjawisk.

Gdyby chcieć ująć w jednym słowie najistotniejszą cechę książki, rzec by należało, że jet to książka bogata treścią, formą, zakresem zainteresowań. Jest to istotnie potężna i w biegu narastająca sztafeta, przesłana lepszej przyszłości przez walczącą i tworzącą teraźniejszość Polski.

*

Jak na tym tle wygląda druga z rozpatrywanych książek? — „Piaski" — d-ra Pesty.

Zasięg zainteresowań z natury rzeczy bardzo ograniczony. Teren obserwacyjny zacieśniony do dwóch miejscowości, z których jedna jest wiejską osadą, druga — właściwie fabrycznym przedmieściem Warszawy. Temat — jak powiedzieliśmy wyżej — najniewdzięczniejszy pod słońcem: synteza choroby i nędzy.

A jednak — mimo wszystko i wbrew przytoczonym wyżej sposobom określania tej książki jako książki o polskim „zdziczeniu" — książka ta nie jest książką pesymistyczną. Przeciwnie, jeśli zbadać istotny kierunek nurtu tego drobnego stosunkowo strumyczka — okaże się, że to również pewnego rodzaju sztafeta o pełniącej się służbie na rzecz lepszego jutra Polski. Ten drobny strumyk idzie — wbrew twierdzeniu chciwego na polską nędzę recenzenta — w tym samym kierunku, w którym szedł potężny prąd wańkowiczowskiej „Sztafety".

Przytoczyłem wyżej dość tendencyjne i jednostronnie wyolbrzymione oceny dzisiejszej naszej rzeczywistości lecznictwa społecznego, załamane z książki p. Pesty w niezbyt ścisłym i objektywnym pryzmacie felietonisty „Słowa".

Gdybyśmy jednak oparli się na tym właśnie i tak zakreślonym obrazie, to i tak wnioski stąd płynęłyby zupełnie inne, niżeli te o potęgującym się dziczeniu.

Kto styka się z zagadnieniem lecznictwa społecznego w Polsce, szczególnie właśnie lecznictwa najuboższych rzesz ludności, ten musi potwierdzić fakty zaobserwowane przez d-ra Pestę, zgodne zresztą z obserwacjami innych, znajdujących się w podobnym położeniu, lekarzy, lecz równocześnie musi przyjąć i szereg momentów, usprawiedliwiających pozornie wysoce niemoralne i niezdrowe objawy.

Polski organizm społeczny, szerokie masy ludności polskiej, którym stopniowo otwierane są coraz to nowe możliwości lecznictwa, są dzisiaj i długo jeszcze będą w położeniu wygłodzonego do najwyższego stopnia nędzarza, któremu nagle otwiera się możliwość stosunkowo dostatniego odżywiania. Organizm wycieńczony nadmiernie nie jest w stanie korzystać z otrzymanych środków w sposób normalny. Musi wystąpić tu szereg zjawisk anormalnych, jak fałszywy apetyt, chęć nadużycia przy równoczesnej niezdolności do normalnego trawienia, niewiara w to, czy osiągnięte warunki będą trwałe, nerwowy niepokój czy istotnie wyzyskuje się w pełni i w sposób możliwie najwygodniejszy otwierające się i prawnie przysługujące możliwości.

Z książki d-ra Pesty uderza ponad wszystko jeden fakt. Polska przeżywa wciąż jeszcze wielki głód opieki lekarskiej, wielki głód środków leczniczych; zaniedbania nagromadzone w tym zakresie były i dziś jeszcze są olbrzymie. Równocześnie jednak i rezultaty osiągnięte w tej dziedzinie — przynajmniej w zakresie objętej przymusem ubezpieczenia ludności robotniczej — są poważne.

Dr Pesta w książce swej podkreśla to kilkakrotnie. Przestrzega z całym naciskiem przed wyciąganiem z jego książki tego rodzaju wniosków, jak te, które by szły w kierunku stwierdzania „wypaczenia samarytańskiej idei lecznictwa", czy konstantowania „zdziczenia stosunku lekarza do pacjenta pacjentów do lekarza". Przy ocenie wyników pracy rocznej podkreśla: „Pomimo zaprowadzonego rygoru pacjenci są na ogół zadowoleni i przyznam się, że z przyjemnością stwierdzam stałe oddźwięki sympatii i częste wypowiedzi uznania". W stwierdzeniu tych faktów nie przeszkadza mu świadomość innego faktu, że wymaganie od pacjentów wdzięczności byłoby w danym wypadku żądaniem nadmiernym, gdyż wdzięczność „jest rośliną, której uprawa wymaga pewnego dobrobytu".

> „Rok pracy mojej o charakterze lekarza domowego Ubezpieczalni wzmocnił moje przekonanie do zasad ubezpieczeń społecznych.
>
> Trudności prowokują do przezwyciężania ich. Przedstawiłem nie ideał stosunków, lecz ich stan obecny.
>
> Stan ten nie jest niewątpliwie ostatnim słowem postępu w zakresie lecznictwa społecznego. Jest jednak czymś bez porównania lepszym i zdrowszym, niżeli bierne i łatwe niesprzeciwianie się złu".

I tutaj znowu występuje najpoważniejsza zbieżność ideowa obu omawianych tu książek. Równocześnie zaś z całą jaskrawością zarysowuje się różnica w stosunku do wniosków, które wyciągnął z książki d-ra Pesty felietonista „Słowa".

W stosunku do dzisiejszej rzeczywistości Polski zarysowują się coraz wyraźniej dwa obozy, dwa stanowiska. Jeden — to obóz mniej czy więcej zorganizowanego negatywizmu, żywiącego się kontemplacją polskiej nędzy i wrogiego każdej pracy realnie prowadzonej, jako niedostatecznie doskonałej. Drugi — to obóz tych, którzy — nie zamykając oczu na nędzę i braki naszej rzeczywistości — cieszą się zarówno samą walką ze złą rzeczywistością, jak i rezultatami osiągniętymi w tej walce. Wspólną cechą obu tu omawianych książek jest, iż należą do tej drugiej kategorii dzieł, stojących na pograniczu między literaturą i życiem.

Roman Szymański

Niemieckie rolnictwo i polski robotnik

Od kilku lat obserwujemy w Niemczech stałą ucieczkę robotników rolników do miast. Według obliczeń ministra rolnictwa Rzeszy, Darré, w okresie od 1933 r. do 1938 r. uciekło z roli koło 800.000 robotników rolnych, tj. około 1/3 wszystkich robotników rolnych. Zjawisko to staje się w skutkach swych wysoce niepokojące dla Rzeszy. Z jednej bowiem strony wpływa ono ujemnie na strukturę społeczną Niemiec, gdyż stwarza z Niemiec kraj jednostronnie przemysłowy (już obecnie zaledwie 28% ludności zajmuje się rolnictwem), z drugiej zaś strony stanowi doraźne niebezpieczeństwo dla gospodarki niemieckiej, ponieważ grozi załamaniem produkcji rolniczej, stanowiącej zasadniczy warunek powodzenia odbudowy gospodarczej kraju, tymbardziej, że Niemcy nie mają dewiz na zakup żywności za granicą.

W tych warunkach powstaje zasadnicze pytanie, co rodzi tę ucieczkę. Na ogół — jak to było dotychczas w każdym niemal uprzemysławiającym się kraju, ucieczka robotnika rolnego do miasta była wynikiem szybszego wzrostu dobrobytu ludności miejskiej, niż ludności wiejskiej: różnica poziomu życia w mieście i na wsi stanowiła zawsze przyczynę wewnętrznej migracji. Gdy wejrzymy w obecne stosunki niemieckie, stwierdzimy również działanie tego samego prawa aczkolwiek inne zupełnie towarzyszą mu okoliczności niż w Anglii, lub w Niemczech przedwojennych. Moim zdaniem exodus rolniczy w Niemczech współczesnych ma swoją przyczynę w tym, że w *ostatnim czasie stopa życiowa i warunki pracy robotnika w większym stopniu pogorszyły się w rolnictwie niż w przemyśle.* Powszechnie bowiem wiadomo, że niemiecki robotnik przemysłowy ma bardzo trudne i coraz pogarszające się warunki życiowe.

Brak żywności, pogorszenie jakości towarów przemysłowych, przedłużenie czasu pracy, bardziej wyczerpujące warunki pracy przy niepowiększającej się płacy zarobkowej—to wszystko wpływa na zmniejszenie się stopy życiowej robotnika miejskiego. Te same zmiany zachodzą oczywiście w życiu robotnika rolnego z tą tylko różnicą, że robotnik rolny przy tym wszystkim w większym stopniu niż robotnik przemysłowy zmuszany jest do bardziej jeszcze intensywnej pracy, do większego o wiele wysiłku.

Praca od świtu do nocy stała się zasadą niemal w rolnictwie niemieckim. Min. Darré, omawiając niedawno stosunki pracy na roli, powiedział, że intensyfikacja pracy w rolnictwie przybrała tak wielkie rozmiary, że chłopki niemieckie nie mają nawet sił, aby rodzić dzieci.

Bliższa analiza sytuacji rolnictwa niemieckiego wyjaśnia też w całym zakresie to zjawisko. Jak wiadomo, Niemcy zawsze, a zwłaszcza po wojnie, miały za mało żywności. Zawsze też importowały z zagranicy zboże, paszę i tłuszcze. Z chwilą jednak, gdy Niemcy hitlerowskie weszły na drogę odbudowy gospodarczej i wielkich zbrojeń, straciły możność kupowania żywności za granicą — przynajmniej w dostatecznych rozmiarach. Aby zapełnić tę lukę koniecznym było przystąpić do intensyfikacji rolnictwa. Intensyfikacja rolnictwa stała się tymbardziej konieczna, że w rezultacie nowej polityki populacyjnej wzrosła znacznie rozrodczość ludności a równocześnie zaczęło ubywać ziemi pod uprawę, ponieważ autostrady, lotniska, fortyfikacje itd. zajmowały coraz więcej terenów. Według ostatnich obliczeń w okresie ostatnich 5 lat Niemcy straciły około 2—3% swej ziemi uprawnej na te cele. W granicach samej starej Rzeszy wyrwano rolnictwu około 650.000 ha ziemi na ogólną ilość 17.250.000 ha ziemi, jaka była pod uprawą w 1933 r. Konieczność intensyfikacji uprawy roli w tych warunkach zwiększył jeszcze fakt przyłączenia Austrii i Sudetów, które zawsze były deficytowe pod względem aprowizacyjnym.

Intensyfikacja wyraziła się w użyciu nawozów sztucznych, mechanizacji, industralizacji gospodarki, zwiększeniu urodzajów przez rozpowszechnienie uprawy motylkowych sianych między dwoma zbiorami itd. Przede wszystkim zaś rolnictwo niemieckie przeszło z uprawy zbóż na uprawę roślin przemysłowych, jak buraki cukrowe i kartofle. Ponadto w braku dobrej ziemi rzucono się na nieużytki. W okresie od 1933 r. do 1938 r. wzięto pod uprawę ponad 360 tys. ha nieużytków.

Ta zmiana sposobu gospodarowania wymaga jednej rzeczy — *zwiększenia nakładu pracy.* Ponieważ zaś już od samego początku rolnictwo niemieckie nie miało nadmiaru rąk roboczych, zaszła więc potrzeba zwiększenia eksploatacji robotnika. Nic też dziwnego, że w tych warunkach robotnik niemiecki wolał uciekać do miasta. Tym bardziej, że gospodarz bądź dziedzic nie był w stanie zapewnić mu lepszego wynagrodzenia, ponieważ rentowność gospodarstwa rolnego nie tylko się nie poprawiła, ale nawet zmalała przede wszystkim wskutek tego, że rząd niemiecki mimo wzrostu kosztów eksploatacji w nieznacznym tylko stopniu zezwalał na podwyżkę cen artykułów rolnych.

W tych warunkach rząd niemiecki stanął wobec konieczności sprowadzenia z zagranicy taniego robotnika. W pierwszym rzędzie zaczęto angażować robotnika polskiego. Od kilku lat widzimy stale wzrastający przypływ naszych robotników do Niemiec. Według ostatnich wiadomości w roku bieżącym ma się udać do Niemiec około 100.000 naszych robotników.

Robotnik polski, gnębiony polską biedą i pamiętający tamte lepsze czasy, gdy chodziło się na Sachsy jeszcze za Wilhelma i Weimaru, idzie na ogół chętnie do Niemiec. W ostatnich latach zaczynają się jednak coraz bardziej mnożyć wypadki ucieczki naszych robotników, którzy po prostu nie mogą wytrzymać tempa pracy, jakiego się od nich wymaga. Niejednokrotnie — w 1938 r. — zdarzało się, że jeszcze przed upływem kontraktu uciekali nasi robotnicy do kraju, pozostawiając nawet zarobione w Niemczech pieniądze.

Notując te fakty, nie chcę bynajmniej oskarżać rolników niemieckich o wyzysk naszych robotników, ponieważ oni sami też nie próżnują. Jeżeli jednak przytaczam te fakty, to właśnie dlatego, aby wykazać jak trudna być musi sytuacja rolnika niemieckiego, jeżeli nawet robotnik polski nie może tam wytrzymać, mimo, że dostaje za swą robotę więcej niż w Polsce i mimo, że po powrocie do kraju grozi mu nasza wierna polska bieda.

W tych warunkach jedno jest jasne:

Jeżeli zgadzamy się na wysyłanie do Niemiec naszych robotników — czynimy tym samym Rzeszy niemieckiej wielką przysługę. Dzięki naszemu jedynie robotnikowi Niemcy mogły podnieść uprawę buraków cukrowych w ostatnich kilku latach z 241 tys. ha do 500 tys. ha, zapewniając sobie tym samym samowystarczalność w cukrze i uzyskując przez to wartościową paszę dla bydła.

Korzyści, jakie gospodarstwo niemieckie ma z naszego robotnika, są więc niewątpliwe.

Ale zapytajmy się teraz, co my mamy z tego? Otóż — powiedzmy otwarcie — nie wiele.

Przede wszystkim Rząd niemiecki — zwłaszcza ostatnio — nie płaci zarobków robotniczych do kraju w dewizach, lecz jedynie w eksporcie towarowym. Prawda, że podczas pracy w Niemczech przeciętnie robotnik zarobi w sezonie około 500—600 zł., które mu zapewniają utrzymanie przez zimę. Te 500—600 złotych otrzymuje on

jednak tylko dlatego, że nasz importer musi płacić za maszyny i towary niemieckie wysokie ceny według oficjalnego kursu dewizowego. Tym wyższe, że Niemcy wcale się nie kwapią do „dumpingowania" swego eksportu do Polski, bo zdają sobie sprawę, że jeśli nie przyjmiemy ich towarów po dyktowanej przez nich cenie, to należność zamrozi się, tak samo jak zamrażają się należności za tranzyt itd.

Niewiele zarabiamy więc na naszym eksporcie ludzkim do Niemiec.

W tym stanie rzeczy jedno wydaje się uczciwe rozwiązanie. Zamiast pomagać Niemcom w rozwoju ich autarchii gospodarczej, za co i tak otrzymujemy jedynie towary niemieckie, czy nie lepiej jest zarówno dla nas jak i dla Niemców zawrzeć umowę handlową, w której dostarczylibyśmy Rzeszy większych ilości i po tańszych cenach produktów żywnościowych, a w zamian za to odbieralibyśmy towary przemysłowe i maszyny niemieckie. Jeżeli bowiem dzisiaj zgadzamy się brać towary niemieckie i maszyny za naszego robotnika, to dlaczego nie moglibyśmy brać maszyn niemieckich za nasze zboże, jaja i cukier?

Uregulowanie na tych zasadach wzajemnych stosunków jest moim zdaniem jedynie możliwe i uczciwe. Nam bowiem umożliwi ono pełniejsze wykorzystanie naszych marniejących wskutek intensyfikacji gospodarstw rolnych, Niemcom zaś umożliwi uniknięcie katastrofy, jaka ich niewątpliwie czeka, gdy wskutek nadmiernej intensyfikacji swego rolnictwa doprowadzą albo swego chłopa do ruiny, albo też tak podniosą swe ceny żywności, że nie będą mogli wskutek wysokich kosztów robocizny konkurować z zagranicą nawet w zakresie przemysłowym.

Na takie załatwienie trzeba iść póki czas! Eksport naszych robotników rolnych to dla nas tylko paliatyw, który daje nam jedynie chwilowe złagodzenie bezrobocia. Z drugiej jednak strony nie daje on gospodarce narodowej żadnych trwałych podstaw rozwoju, ale ponadto grozi wielkimi wstrząsami z chwilą, gdy gospodarstwo niemieckie wróci do normalnych warunków pracy i albo w ogóle zamknie granicę dla naszych robotników — jak to było w 1932 roku — albo ograniczy znacznie migrację naszych robotników, dla których nie będziemy mieli wtedy żadnych warsztatów pracy.

Już więc same — moim zdaniem — względy gospodarcze są wystarczające, aby położyć tamę naszej emigracji sezonowej do Niemiec.

Gdy jeszcze do tego dojdą względy polityczne, o których nie chcę obecnie bliżej pisać — tym bardziej konieczną musi być zmiana naszej polityki wobec Rzeszy w tym zakresie.

Roman Piotrowicz

Italia a środkowa Europa

Polityka Europy w swych szerokich historycznych zarysach opierała się głównie na zasadzie równowagi jej państwowych sił. Okres Ligi Narodów, usiłujący zamiast rywalizujących ze sobą bloków wprowadzić zasadę jedności i powszechnej współpracy, musiał skapitulować wobec zupełnie innej rzeczywistości. Ostatnie terytorialne przemiany w Europie radykalnie ponadto zmieniły wzajemne ustosunkowanie się jej międzynarodowych sił. Oba te fakty walnie się przyczyniły do nawrotu ku starej, wiekami wypróbowanej zasadzie równowagi. Toteż jesteśmy dziś świadkami takiego właśnie kształtowania się politycznego oblicza Europy.

Formułując na Kongresie Wiedeńskim założenia polityki równowagi, von Gentz wywodził, iż zmuszają one współżyjące obok siebie i mniej lub więcej ze sobą związane państwa do czuwania nad tym, żeby żadne z nich nie mogło zagrozić innemu bez równoczesnego napotkania skutecznego oporu. Stąd też wyraźna konieczność politycznych aliansów i porozumień.

Powstanie w samym sercu Europy nowej Rzeszy, przerastającej liczbą, ludnością, przemysłem i potencjałem wojennym inne państwa, najbardziej decydująco ciąży nad zabiegami tych ostatnich, usiłujących wprowadzić w życie tę jeszcze wciąż pełnowartościową teorię równowagi. Stosunki międzynarodowe, obejmujące dziś swym zasięgiem całą kulę ziemską, ogromnie jednak komplikują pozostawanie równoważących się bloków. Sytuacja Italii jest pod tym względem szczególnie drażliwa. Jej kolonialne, śródziemnomorskie i oceaniczne interesy pchają ją bowiem w kierunku podsycania niemieckich planów i poczynań zdobywczych, gdy jej zainteresowania europejskie, szczególnie południowo-wschodnie i wschodnie, jak również obawy przed możliwościami przyszłych powikłań i trudności, skłaniają ją raczej do hamowania inicjatywy Niemiec w tych rejonach. Takie warunki jej polityki zmuszają ją z konieczności do stosowania bismarkowskiej teorii asekuracyj i kontrasekuracyj, z dostatecznym zresztą powodzeniem stosowanej już w przedwojennym okresie.

Usadowienie się Niemiec w Wiedniu otworzyło przed ich ekspansją drogę Dunaju, Bałkanów, Śródziemnomorza i Adriatyku. Jest to dawna droga niemieckiej Marchii Wschodniej. Jest to jednak zarazem teren, gdzie zawsze krzyżowały się interesy Italii i Austro-Węgier. Chcąc więc uniknąć podobnych jak przed wojną skutków oraz zapobiec rozluźnieniu korzystnego w zachodnio - europejskiej polityce Italii aliansu z Niemcami, musi się równocześnie szukać dróg przeciwstawienia niemieckiemu marszowi określonych i zorganizowanych tam. W konsekwencji obserwować możemy wybitny zwrot w środkowo-europejskiej polityce Italii oraz wyraźne jej wysiłki w konsolidowaniu politycznej jedności państw tego rejonu.

Zbyt rozproszkowane siły basenu Naddunajskiego i Bałkanów nie są jednak dostateczne dla spełnienia tego zadania, mogącego zapewnić długoletni pokój Europie. Stąd też konieczność rozszerzenia geograficznego zasięgu czynnej europejskiej polityki Italii. Stąd również coraz bardziej intensywne jej zainteresowania dalej położonymi państwami tej środkowej połaci Europy.

Upadek znaczenia Ligi Narodów, będącej bądź co bądź organizacją, tworzącą prawne ramy postępowań jej członków, zastąpienie w rządzących światem założeniach statyki nasyconych mocarstw Zachodu agresywną dynamiką mocarstw „osi" zmusiły państwa środkowej Europy do gruntownej rewizji ich dotychczasowej polityki. Mniej doświadczone w praktykach polityki równowagi, muszą jednak i one szukać ratunku w jej wskazaniach oraz odpowiednio do tego grupować swe siły.

W tej właśnie dziedzinie odrodzone wśród nich dążenia konsolidacyjne spotykają się z analogicznymi zabiegami Italii, starającej się w kontrasekuracji zabezpieczyć swe środkowo-europejskie interesy. W obliczu tych nowych na naszym kontynencie sytuacyj stają się zrozumiałe zjawiska, do niedawna uchodzące za niemożliwe, jak włosko-jugosłowiańskie zbliżenie, jak zabiegi Italii w kierunku pogodzenia Węgier z Jugosławią i Rumunią, jak wreszcie jej uprzednie wysiłki w osiągnięciu odprężenia w stosunkach Bułgarii z jej sąsiadami na Bałkanach. Tym też tłumaczy się inicjatywa Mussoliniego w upowszechnianiu narodowościowego rozwiązania sprawy czecho-słowackiej oraz poparcie Italii dla projektów, mających na celu stworzenie węgiersko-polskiej granicy.

Chociaż częste podróże włoskich mężów stanu do państw środkowej Europy tłumaczone są rzekomą chęcią wciągnięcia ich w obręb polityki „osi", to można jednak sądzić, że interesy obu partnerów tej „osi" tutaj właśnie nie zawsze są zgodne. W świe-

tle tego nie pozbawiona jest pewnego waloru opinia prof. Toynbee'go, brytyjskiego eksperta w sprawach środkowej Europy na paryskiej konferencji pokojowej, mówiącego niedawno, że: „nawet gdyby udało się Niemcom wciągnąć swych sąsiadów w pewien rodzaj niemieckiego systemu, to i wtedy zachodzi możliwość, że w ramach takiego zespołu utworzy się grupa, przewodzona przez Italię i Polskę, a stawiająca sobie za cel utrzymanie niemieckiej przewagi w pewnych określonych granicach". Oczywiście, użyte tu pojęcie „niemieckiego systemu" może odpowiadać sposobowi myślenia Anglika o sprawach środkowo-europejskich, nie odpowiada napewno sposobowi myślenia polskiego czy nawet italskiego. Dla obu bowiem państw zagadnienie równowagi europejskiej powinno być w gruncie rzeczy zagadnieniem przeciwstawienia się podziałowi Europy na „bloki" i „systemy".

Andrzej Krzewiec

Problem młodzieży w ujęciu C. Z. M. W.

Na marginesie Zjazdu z dnia 19 i 20 lutego

Odcinek wychowawczy jest niewątpliwie jednym z najbardziej zaniedbanych odcinków życia państwowego. Niesłychany chaos, przypadkowość, brak planu — rzucić się muszą w oczy nawet człowiekowi bardzo mało mającemu do czynienia z młodzieżą. Zdawać by się mogło, że polska myśl wychowawcza, pod którą podwaliny kładli tacy ludzie, jak Sławomir Czerwiński i Adam Skwarczyński — zagubiła się gdzieś w rozgwarze bieżących zagadnień politycznych. Jedyne, jakie były podejmowane, usiłowania stworzenia programu wychowawczego na odcinku młodzieży akademickiej nie doprowadziły do niczego i mogą być przykładem błędnego podchodzenia do młodzieży. Błąd leżał wówczas u podstaw całej koncepcji. Błędem tym było mniemanie, że można wyeliminować prądy ideowo-polityczne z życia młodzieży. Przystąpiono wówczas do rugowania organizacyj ideowo-wychowawczych, do uniemożliwiania im pracy i działania. Rezultaty szybko zobaczyliśmy: wzrost prac i wpływów nielegalnych wyraźnie politycznych organizacyj młodzieżowych, przy braku przeciwdziałania ze strony grup wychowawczych, posiadających poczucie odpowiedzialności, które nie chcąc iść na pracę w formach konspiracyjnych, były prawie pozbawione możliwości oddziaływania na młodzież.

Stan ten stał się jeszcze bardziej anormalny, gdy zaczęło się kokietowanie tych nielegalnych organizacyj młodzieżowych, gdy ta nielegalność stała się fikcją nie utrudniającą pracę, a przeciwnie ułatwiającą, bo chroniącą od kontroli i dającą nimb tajemniczości.

Tragedią dotychczasowych poczynań czy koncepcyj wychowawczych był partyjno-polityczny punkt patrzenia zamiast ogólno-państwowego. Szukanie doraźnych korzyści bez względu na szkody w przyszłości.

Ostatnio zamieszanie, istniejące na odcinku wychowawczym, powiększa wysuwanie koncepcyj zrodzonych pod wpływem obcych idei, eliminujących pierwiastki samodzielności i dobrowolności z wychowania. Jednocześnie z tymi „totalistycznymi" pomysłami odzywają się głosy, pomniejszające rolę państwa w wychowaniu, nie uznające w ogóle potrzeby planowego ujęcia sprawy wychowania.

Na tle tego chaosu i ścierania się różnych prądów, na szczególną uwagę zasługuje koncepcja planowego ujęcia sprawy wychowania młodzieży, przedstawiona na Zjeździe Centralnego Związku Młodej Wsi przez prezesa St. Gierata i następnie przyjęta przez Zjazd.

Koncepcja ta uwzględnia młodzież zarówno szkolną, jak i pozaszkolną. Punktem wyjścia jest ustalenie celów i zadań działania wychowawczego oraz roli poszczególnych czynników w wypełnianiu tych zadań. Na szkole—jako jednym z czynników wychowawczych — spoczywa przede wszystkim obowiązek wprowadzenia jednostki w uzyskany przez ludzkość dorobek kulturalny. Drugi czynnik — rodzina ma dać jednostce podstawę moralną i ugruntowanie zasad etycznych. Trzecim wreszcie czynnikiem jest organizacja młodzieżowa. Ma ona pogłębić i utrwalić podstawy moralne, wyniesione z domu rodzinnego oraz przygotować jednostkę do twórczego, czynnego kontynuowania działalności poprzednich pokoleń swego narodu.

Organizacja winna objąć i młodzież szkolną, by dać możność rozwijania tkwiącego już w tej młodzieży instynktu gromadzkiego, by uczyć młodzież współżycia w ramach zorganizowanej zbiorowości.

Niewątpliwie na terenie szkoły organizacja odgrywać będzie rolę raczej uzupełniającą działalność wychowawczą szkoły. Pełną i samodzielną rolę odegra ona dopiero wśród młodzieży pozaszkolnej. Omawiając więc problem organizacyj młodzieżowych, należy wyodrębnić i inaczej traktować tę sprawę na odcinku młodzieży szkolnej.

Będzie to przede wszystkim młodzież w wieku lat 7—14. Zagadnienia światopoglądowe mają dla niej charakter pewnych ogólnych kierunków, niesprecyzowanych, opartych na bezpośredniej reakcji uczuciowej. Różnice ideowo-programowe — tak istotne dla młodzieży starszej — nie występują jeszcze, chyba rozbudzone sztucznie. Rozbudzanie ich w drodze konkurencji kilku organizacyj młodzieżowych należy uznać za szkodliwe.

To wszystko przemawia za dopuszczeniem do działalności na terenie szkolnym jednej organizacji, która by urabiała charakter, a w zakresie nastawienia ideowego wpajała jedynie ogólne podstawowe zasady światopoglądowe, wytyczone przez interes Polski, dawała to, co winno być wspólne dla wszystkich Polaków.

Na marginesie należy zresztą zaznaczyć, że wśród starszej młodzieży szkół średnich to zagadnienie będzie wyglądać trochę inaczej i tam może zajść potrzeba dopuszczenia kilku organizacji, pod ścisłą jednak kontrolą władz oświatowych.

Przechodząc do stanu obecnie istniejącego i rozpatrując dorobek poszczególnych organizacyj, trzeba uznać, że najwłaściwszą organizacją dla młodzieży szkolnej jest harcerstwo i jemu powinna przypaść rola jedynej, szkolnej organizacji wychowawczej.

Z kolei zajmijmy się odcinkiem organizacyj młodzieży pozaszkolnej: wiejskiej, robotniczej i rzemieślniczej, inteligenckiej i akademickiej.

Na tym odcinku szczególnie ostro zarysowuje się zagadnienie stopnia i sposobu oddziaływania państwa na wychowanie młodego pokolenia. Ścierają się dwie koncepcje: jedna — totalnej, przymusowej organizacji, wykluczającej wszelkie inne, — druga — całkowitej swobody, pozostawienia dotychczasowego zamętu i rozpraszania sił. Centralny Związek Młodej Wsi wysuwa koncepcję własną. Zadania wychowawcze spełniać może najlepiej organizacja ideowa, dobrowolna i samodzielna. Ona tylko potrafi wychować człowieka o pełnej inicjatywie i dynamizmie a jednocześnie umiejącego działać zespołowo i podporządkować się zorganizowanej woli społeczeństwa.

Jednocześnie jednak państwo nie powinno zostawiać młodzieży samej sobie. Winno ono zapewnić organizacjom dogodne warunki rozwoju, by ogarnęły jak największy procent młodzieży, a jednocześnie czuwać nad wprowadzeniem do prac wszystkich organizacji jednolitych, naczelnych kryteriów wychowawczych.

Kryteria te C. Z. M. W. formułuje w ten sposób:

a) nadrzędność interesów Państwa nad cząstkowymi interesami grup i klas,

b) konieczność oparcia siły Państwa o rozwój i poszanowanie potrzeb społecznych najszerszych warstw narodu,

c) rozwijanie postawy zdobywczej narodu polskiego,

d) zasada nieustannego rozbudowania i pogłębiania kultury narodowej oraz powiększania dorobku materialnego przez rozwijanie inicjatywy, ambicji twórczej i gruntowności w rozwiązywaniu zagadnień,

e) konieczność realizacji powszechnego wychowania gospodarczego na drodze zainteresowania całej młodzieży przysposobieniem zawodowo-gospodarczym oraz wpajaniu we wszystkich członków zasad

ekonomii społecznej i gospodarki planowej,

f) zasada współżycia narodu z pokrewnymi mniejszościami w Państwie w płaszczyźnie szlachetnej rywalizacji i współpracy kulturalnej i gospodarczej,

g) zasada współżycia z innymi narodami w płaszczyźnie wymiany dorobku kulturalnego i wzajemne poznanie dorobku organizacyjnego.

Dążenie do skoordynowania prac młodzieży, uzgodnienia inicjatyw i uniknięcia marnotrawstwa sił winno przybrać formę ogólnomłodzieżowej reprezentacji, składającej się z przedstawicieli wszystkich ogólnopolskich organizacyj ideowo-wychowawczych.

Dodać jeszcze należy, że właściwe byłoby powołanie ze strony władz państwowych odpowiedniej komórki do współpracy i opieki nad młodzieżą.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Anglia — Hiszpania — Belgia — Japonia

(z.d.). Cechą bodaj najbardziej charakterystyczną obecnej sytuacji międzynarodowej jest rosnąca z miesiąca na miesiąc aktywność Wielkiej Brytanii. Można bez przesady powiedzieć, że jeśli rok 1938 przeszedł pod znakiem dynamizmu niemieckiego, to rok 1939 zaczyna się pod znakiem dynamizmu dyplomacji brytyjskiej. Jak w roku ubiegłym oczy świata były zwrócone na Berlin, tak teraz ściąga na siebie uwagę w pierwszym rzędzie Londyn.

Aktywność Londynu jest niezmiernie charakterystyczna. Wynika ona z pewnych zasadniczych przemian, zachodzących w koncepcjach premiera Chamberlaina. Pod koniec ubiegłego roku, w Berchtesgaden, w Godesbergu, w Monachium, kierownik zagranicznej polityki Wielkiej Brytanii uległ złudzeniu, że niemiecki dynamizm zaspokoi się wcieleniem w granice Rzeszy 10 milionów Niemców, względnie, że w dalszej fazie swego parcia przybierze postać bardziej pokojową, lecz nadal skierowaną na Wschód. Rezultatem tych złudzień było kultywowanie ducha Monachium, czyli tak zwana polityka uspokojenia, która trwała do mowy Hitlera w dniu 30 stycznia roku bieżącego. Mowa ta, w połączeniu z rewindykacjami włoskimi, nie wpłynęła na Chamberlaina w kierunku zaniechania polityki porozumienia z mocarstwami totalnymi. Wywołała jednak daleko idącą zmianę koncepcji tego, co ma się kryć pod pożądanym przez Chamberlaina uspokojeniem.

Mowa Hitlera wykazała, że pomysł ratowania pokoju na Zachodzie kosztem żywotnych interesów państw zachodnich jest nierealny. Mowa ta wykazała, że koncepcje polityczne kanclerza Rzeszy są zbyt żywiołowe, aby mogły godzić się z politycznym handlarstwem. Wykazała ponadto, że jeśli Niemcy nie wstrzymują swego pochodu na Wschód, to tym niemniej z równie żywiołową siłą sięgają po dobra polityczne i gospodarcze, dziś dzierżone przez mocarstwa zachodnie. Jednym słowem, Chamberlain, który w pierwszej połowie stycznia, w Rzymie, miał sposobność odczuć skierowany na Zachód dynamizm włoski, przekonał się w końcu tegoż miesiąca o sile niemieckiego parcia na Zachód. Otóż Chamberlain jest realistą. Jako realista, m u s i a ł pojąć, że tego parcia na Zachód, które ma w tej chwili postać parcia do Afryki, do źródła surowców i obszaru ekspansji ludnościowej, nie dałoby się powstrzymać inaczej, jak przez opór zbrojny. Lecz Chamberlain, może dlatego właśnie, że jest realistą, wojny najotwarciej i najszczerzej się b o i. Równocześnie, jako polityk, brytyjski premier dokładnie zdaje sobie sprawę z tego, że istnieją możliwe do zrealizowania warunki, w których Niemcom i Włochom nie warto byłoby wojować z zachodnimi sąsiadami. Chamberlain ma więc przed sobą sytuację, w której rewizja kolonialnego status quo jest nieunikniona, jeśli się chce uniknąć wojny; jest to sytuacja, w której m o ż n a uniknąć wojny.

Motywem przewodnim polityki Chamberlaina jest w tej sytuacji dążenie, żeby rozwiązanie sprawy rewidykacyj kolonialnych odbyło się pod dyktandem Wielkiej Brytanii, a nie Niemiec i Włoch, żeby po kontynentalno-europejskim „Monachium" historia notowała kolonialny „Londyn". Chodzi zaś o to Chamberlainowi przede wszystkim dlatego, że przy takim biegu spraw Wielka Brytania zapłaciłaby najmniejszą spośród państw kolonialnych cenę ewentualnego „uregulowania", a odniosłaby największe korzyści międzynarodowo-polityczne i mocarstwowo-prestiżowe. Jednym słowem, Chamberlain, jak to można wysnuć z ostatnich posunięć polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii, uznał fatalizm rewizji polityczno-gospodarczego statutu Afryki, lecz pragnie tę ewolucję wziąść w swe mocne, uzbrojone w potężną flotę, ręce premiera największego imperium kolonialnego. Jest to dalszy ciąg polityki ustępstw, lecz tym razem chodzi o to, żeby ich granice oznaczał dający, a nie żądający. Chodzi o to, żeby żądający m u s i a ł zadowolić się tym, co mu dadzą.

Z tym wszystkim trzeba by, żeby premier Wielkiej Brytanii nie powtórzył jednego szczególnego błędu monachijskiego. W okresie monachijskim Chamberlain, wraz z Daladierem, nie tworzyli, nie budowali nowych rozwiązań, tylko z zaciśniętymi zębami ustępowali temu, komu nie chcieli, czy nie mogli się przeciwstawić, — zrazu Hitlerowi, potem Polsce, ustępowali krok za krokiem, mając cały wysiłek skupiony na tym, by ustąpić najmniej. Otóż należy mieć nadzieję, że tym razem, w sprawie rewindykacyj kolonialnych, które wysuwają nie tylko Niemcy i Włochy, lecz również i Polska, Chamberlain będzie istotnie b u d o w a ł, a nie li tylko u s t ę p o w a ł.

Metoda wyłącznego ustępowania przed siłą, metoda całkowicie nietwórcza, opatrzona dewizą „oddać jak najmniej", w sprawie Czechosłowacji wydała rezultaty opłakane. Czyżby więc Chamberlain powtórzył tę metodę i w razie negocjacyj kolonialnych? — Miejmy nadzieję, że jeśli po europejskim „Monachium" przyjdzie kolonialny „Londyn", to będzie on wypełniony c a ł k o w i c i e nowym duchem. Przy tym duchu Londyn musiałby uwzględnić polskie postulaty kolonialne na równi z innymi.

*

Sprawa Hiszpanii wchodzi podwójnie w nową fazę. W zakresie spraw wewnętrznych gen. Franco po ostatecznym zwycięstwie militarnym staje przed jeszcze trudniejszym zadaniem zwycięstwa moralnego i politycznego. W zakresie polityki zagranicznej otwierają się przed nim możliwości zejścia z płaszczyzny jednostronnego wiązania się z Włochami i Niemcami na płaszczyznę polityki równowagi między osią Berlin — Rzym i osią Londyn — Paryż.

Dla sytuacji europejskiej rozwój polityki zagranicznej nowej Hiszpanii będzie sprawą zasadniczej wagi. Otóż orientacja zagraniczna gen. Franco jest jak najściślej związana z zagadnieniami wewnętrznymi, nie tylko samej Hiszpanii, lecz i mocarstw osi Londyn — Paryż. Militarne zwycięstwo gen. Franco nie powinno być komentowane jako dowód jego niezachwianej moralnej i politycznej pozycji w Hiszpanii; nie jest nawet wykluczone, że na dalszy dystans to zwycięstwo będzie wspomnieniem, utrudniającym sytuację wodza nowej Hiszpanii. Zwycięstwo ruchu frankistowskiego zostało przez naród zbyt drogo okupione, żeby mogło nie budzić krytycyzmu politycznego w stosunku do przywódcy te-

go ruchu. Z punktu widzenia objektywnego i przy uwzględnieniu rozbieżności, panujących w łonie obozu frankistowskiego, można zadać sobie pytanie, czy bez dalszej pomocy wojsk włoskich gen. Franco zdoła utrzymać się przy władzy. Można więc wątpić w konsekwencji, czy przy najlepszych chęciach gen. Franco będzie mógł uwolnić się od jednostronnych więzów, łączących go dziś z Włochami oraz Niemcami.

Dołącza się do tego wzgląd na sytuację wewnętrzno-polityczną w Anglii i Francji. Za rok odbędą się w obu krajach wybory parlamentarne, więc znowu powstaną możliwości zmian wewnętrzno-politycznych w obu tych krajach. Szczególnie sytuacja wewnętrzna Francji jest niepewna, powrót rządów zdecydowanie lewicowych, nastawionych doktrynalnie wrogo w stosunku do Hiszpanii frankistowskiej nie jest wykluczony. Dla gen. Franco oznacza to wszystko moment potencjalnego niebezpieczeństwa zewnętrznego, a więc jeden jeszcze powód, dla którego może on nie być w stanie zejść z płaszczyzny jednostronnego związania z Włochami i Niemcami na płaszczyznę polityki równowagi między obiema osiami.

W związku z tym wszystkim nie należałoby oczekiwać ze strony gen. Franco równie niecierpliwego dążenia do nawiązania przyjaznych stosunków z Anglią i Francją, szczególnie zaś z Francją, jak Francja śpieszy się do postawienia nogi w Burgos. Będzie musiało upłynąć jeszcze dużo wody w Sekwanie i Tamizie, aby gen. Franco zaczął zapominać o swych dotychczasowych przyjaciołach.

*

Jeszcze przed wojną światową Edmond Picard wyraził się, że w Belgii naród przepojony jest duchem, który nie jest ani flamandzki, ani walloński, tylko belgijski. Wydarzenia wojny światowej, szczególnie fakt powstania podczas niemieckiej okupacji Belgii „Narodowej Rady Flamandzkiej", wykazały, że jednak spójność narodowa Belgów nie jest tak mocna, jak się mogło wydawać.

Lecz jeszcze silniej wstrząsnęły tym przekonaniem wydarzenia lat ostatnich. Wręcz już wątpliwości co do jedności poczucia narodowego Belgów mogą wzbudzić wydarzenia ostatnich tygodni, które doprowadziły do niebywałego w dziejach państwa belgijskiego zaognienia wewnętrznego. Pomijamy tu bezpośrednią przyczynę — wybór na członka nowopowstałej flamandzkiej Akademii medycyny doktora Martensa, członka byłej Narodowej Rady Flamandzkiej; w tym fakcie można dopatrywać się tej samej nieodpowiedzialności politycznej i braku równowagi moralnej, jakie były motorem aktywizmu flamandzkiego podczas wielkiej wojny. Natomiast nie da się zaprzeczyć, że coraz to gwałtowniejsze domaganie się ze strony Belgów, mówiących po flamandzku, całkowitej autonomii kulturalnej i administracyjnej ma wszelkie cechy świadomego i upartego dążenia do zniszczenia dotychczasowej, faktycznej, czy tylko pozornej, lecz w każdym razie p o l i t y c z n i e istotnej jedności narodowej.

Nie jest to problem wyłącznie tylko belgijski. Jest to zagadnienie międzynarodowe, zdolne zaognić bardzo poważnie sytuację polityczną na Zachodzie. Tym bardziej, że do zagadnienia tego dołącza się pewne tendencje autonomistyczne w Alzacji i podobne dążenia niektórych odłamów narodu szwajcarskiego. Wszystko to wskazuje, że problem etniczny, który przypisywano tak chętnie jako wyłączne źródło niepokoju Europie wschodniej, niepokoi również i Europę zachodnią.

*

Poważnym powodem do niepokoju jest dla Wielkiej Brytanii i Francji zajęcie przez Japończyków wyspy Hainan. Wyspa ta w posiadaniu państwa mającego silną flotę, zagraża bezpośrednio francuskim Indochinom i w dużej mierze również Singapurowi. Jak dotychczas kardynalnym zagadnieniem morsko-strategicznym na Dalekim Wschodzie była wielka odległość baz floty japońskiej i brytyjskiej. Brytyjczycy, chcąc podjąć ofensywę przeciwko Japonii, musieliby popłynąć trzy tysiące mil morskich z Singapuru do Japonii, a Japończycy z Japonii do Singapuru. Odległość ta praktycznie wykluczała działania ofensywne flot na Dalekim Wschodzie i była czynnikiem pokoju. Natomiast po zajęciu przez Japończyków Hainany, sytuacja może ulec w przyszłości gruntownej zmianie. Hainan, oparty o pobliski ląd, znajdujący się politycznie w rękach Japonii równie pewną podstawą operacyjną dla działań zaczepnych przeciwko Wielkiej Brytanii, jak macierzyste wyspy Japonii, a odległość tej podstawy od Singapuru jest więcej niż dwukrotnie mniejsza niż odległość wysp japońskich.

Żyjemy w okresie zbyt głębokiej inflacji wiarogodności uroczystych przyrzeczeń mężów stanu, aby można było przywiązywać większą wagę do oświadczeń Japonii, że nie ma zamiaru okupować Hainany na stałe. Zbyt cenna jest to dla Japonii pozycja strategiczna, aby miała z niej zrezygnować inaczej, jak pod groźbą siły, której nie będzie się czuła przeciwstawić. — Jeden więcej powód dla Londynu, żeby przyśpieszyć dzieło pacyfikacji Europy. Jeden więcej powód, aby oczekiwać, że „Londyn" (w cudzysłowie) kolonialny jest sprawą niedalekiej przyszłości.

Leon Jarzębowski

ŻYCIE PROWINCJI

Kramikarstwo świętomarcińskie

Poznań, w lutym 1939 r.

Dyskusja budżetowa nowej Rady Miejskiej m. Poznania wysunęła i zaktualizowała pewne fakty polityczne, zdawałoby się już dawno przezwyciężone. Czytając doniesienia prasowe z tej dyskusji, trzeba ze zdumieniem pewnym stwierdzić, że Stronnictwo Narodowe i jego członkowie, stanowiący w chwili obecnej większość Rady, zatrzymali się w swoim rozwoju i przez lata, dzielące nas od maja 1926 roku, w niczym nie zmienili swego oblicza duchowego. Dotyczy to szczególnie dwóch dziedzin: stosunku do spraw społecznych i do spraw kultury.

Mimo i wbrew realnym faktom, które na całym świecie postawiły sprawy społeczne na naczelnym miejscu polityki wewnętrznej, mimo przykładów aż nazbyt widocznych z terenu państw totalnych, z którymi łączy to stronnictwo tyle sympatii i myśli — okazuje się, że żyje ono nadal w nastrojach liberalizmu, niedoceniania ważności spraw społecznych, a nawet pewnej wrogości do wszelkiej akcji z tej dziedziny. Ustawodawstwo socjalne, wprowadzone i rozszerzone zarówno przez Stany Zjednoczone A. P. i Francję, jak i przez Włochy i Niemcy, a nawet przez Hiszpanię gen. Franco, przynajmniej jeszcze w czasie trwania walk, tak demonstracyjnie respektowane, nie znajduje u naszych „narodowców" żadnego szczerego entuzjazmu — przeciwnie, jest traktowane bezmała jak choroba wieku i nieszczęście niemal równe żydostwu, miazmatom marksizmu, masonerii itp.

Ta anachroniczna postawa ujawniła się między inymi w tym, że nowa Rada Miejska m. Poznania uznała za właściwie rozpoczęcie działalności od zmniejszenia dotacji przeznaczonych na utrzymanie szpitali — funduszów, które były i tak za ma-

łe i wymagały niewątpliwie zwiększenia. Zaznaczmy od razu, że to posunięcie było rzeczowo niepotrzebne, jako że projekt budżetu był de facto realny i zrównoważony i że ta skreślająca uchwała nie była przypadkowa, ale dobrze przemyślana i świadomie przez Str. Nar. zamierzona, poprzedziła ją bowiem walka o niedopuszczenie specjalistów w tej dziedzinie z grupy radzieckiej O.Z.N.

Tę samą postawę ujawniło Stronnictwo Narodowe wobec spraw kultury. Żaden dział budżetu nie został tak „poprzycinany", jak właśnie ten, który dotyczył kultury i sztuki, mimo że dziedzina sztuki jest najmniej polityczną. Wbrew głoszonym hasłom, jakby instynktownie, zdemaskowano się, odkrywając dawne swe oblicze, obce kulturze, twórczości i inteligencji. Kramikarskie lekceważenie i niechęć drobnego mieszczucha do spraw kultury, głęboko zakorzenione przekonanie o ich niepotrzebności i luksusie, zjednoczyło wszystkich „narodowych" rajców do koncentrycznego ataku na ten dział. Okazuje się, że zainteresowanie, jakie przed niedawnym czasem zaczęła okazywać prasa tego stronnictwa dla kultury, było... rozgrywką polityczną. Kiedy ludzie z tego obozu poczuli się zagrożeni przez szczerą, konkretną postawę w tej sprawie t.zw. „sanacji", kiedy np. w Poznaniu z innych kół wyszła inicjatywa wieczorów w Pałacu Działyńskich, które cieszą się niebywałym powodzeniem, wtedy na gwałt pojawiło się kilka artykułów wstępnych, że owszem, że naturalnie, ale... jedynie pod komendą idei, naturalnie „narodowej". Że to totalistyczne podporządkowywanie kultury polityce było sprzeczne z równoczesnym żądaniem demokratyzacji np. w zakresie ordynacji wyborczej, tym się redaktorzy nie kłopotali, widocznie nie podejrzewali swych czytelników o zbyt wygórowany krytycyzm.

To polityczne zainteresowanie kulturą, to robienie z niej narzędzia dla zdobycia wpływów, ujawniły również uchwały nowej Rady miasta. Mianowicie dotacje na towarzystwo, które utrzymuje i kieruje wspomnianymi wieczorami w Pałacu Działyńskich, obiecano utrzymać i podwyższyć nawet, o ile... trzech członków Rady zostanie dopuszczonych do zarządu tego towarzystwa! Propozycja kupna! Przy tym chodzi właśnie o trzech członków, nie o czterech, bo w tym ostatnim wypadku jeden z tych radnych musiałby być wyznaczony z ramienia opozycji.

Bez żadnych zaś już zastrzeżeń, za jednym pociągnięciem ołówka, skreślono jeden tysiąc z 2000 przeznaczonych na wydawnictwa naukowe o Poznaniu. Ta sprawa, mimo że nie dotyczy wielkiej sumy, jest niezmiernie wymowna. Poznań, który posiada państwowy uniwersytet z całym sztabem profesorów i asystentów, nie poczuwa się ze swej strony do żadnego obowiązku dotacyj miejskich na prace naukowe! Jeżeli już pominiemy wzgląd wdzięczności, czy gest zrozumienia, to pozostaje jeszcze tylko kramikarska kalkulacja: bo ile straciłoby miasto i jego mieszkańcy, gdyby nie napływały te tysiączne szeregi studentów z prowincji?!

Już po uchwaleniu tego skreślenia, w „Kurierze Poznańskim" ukazał się artykuł wstępny, w którym donoszono, że Niemcy przeznaczyły 5000 RM na badania życiorysu Kopernika. Z tego faktu nie potrafi jednak Stronnictwo Narodowe wyciągnąć odpowiednich wniosków. Z Niemcami walczy tam i wtedy, gdy może tym jednocześnie dokuczyć min. Beckowi i utrudnić mu pracę. O tym zaś, że największy widoczny atak, jaki przeprowadzają w tej chwili Niemcy na Polskę, jest ofensywą nauki, rozporządzającej instytutami i ogromnymi funduszami, o tym albo nie chcą wiedzieć, albo — jeśli nawet wiedzą — to nie dopuszczają myśli, że trzeba odpowiedzieć zwiększonymi funduszami na naukę polską. Chcą walczyć z Niemcami wyrażaniem swego oburzenia — i na tym poprzestać. (Ten defensywny charakter cechuje zresztą ludzi tego stronnictwa na każdym odcinku, przypomijmy tylko ich lęki i obawy w okresie odzyskiwania Zaolzia). Tymczasem sprawa jest nawet już groźna. Niema problemu polskiego, który by w niemieckiej literaturze nie był poruszany. Wydawnictwa Wrocławia, Królewca — i te redagowane w Polsce — mnożą się i zwiększają objętościowo w niezwykłym tempie. Pracowników przybywa coraz więcej i... coraz częściej my o sobie dowiadujemy się z opracowań niemieckich! Że te opracowania są naświetlane z punktu widzenia tezy o prymacie kultury niemieckiej na ziemiach polskich, o tym wszyscy wiemy, tylko najbardziej krzykliwe stronnictwo nie wie, co na to poradzić. Owszem wie — skreśla właśnie w Poznaniu połowę funduszy, przeznaczonych na polskie wydawnictwa naukowe! A pieniądze te nie były przeznaczone na honoraria autorskie (autora się nie szanuje), ale na koszty druku — nic więcej. Coraz częściej słyszy się o robotach naukowych, które leżą w biurkach, rozgoryczają i zniechęcają ich ofiarnych autorów i... starzeją się, przestają być aktualne. Marnuje się nie tylko wysiłek pracy i talentu, ale przede wszystkim metryki naszego posiadania kulturalnego i lekkomyślnie trwoni kapitał naszej postawy w życiu narodu. Przecież jeden Biskupin, na który łoży zresztą Fundusz Pracy, a więc państwo (tego roku sumę 50 tys. zł.!!) dla kultury polskiej w porównaniu z niemiecką więcej znaczy, niż tomy „Kuriera Poznańskiego", wymyślające Niemcom.

Ale tego wszystkiego Stronnictwo Narodowe nie rozumie. Ono kalkuluje, żeby było oszczędnie, żeby było tanio. Kultura, nauka — piękna rzecz, ale to zbytek — nas na to nie stać. Przewodnictwo idei, nawet narodowych, kończy się tam, gdzie zaczyna się buchalteria. Wówczas zaczyna się kalkulacja. Nie jest to zarzut gołosłowny — przytoczę fakt nie tylko oburzający, ale i zawstydzający. Wydawnictwo „Kuriera Poznańskiego" drukuje „Ilustrację Polską". Tygodnik ten jest od lat, od pierwszego numeru, ścisłą kopią „Berliner Illustrierte Zeitung"!! Format, druk, układ cały, zestawienie fotografii, umieszczenie treści, nawet odcinek humoru, w którym nie tylko układ graficzny jest wzorowany na piśmie niemieckim, ale i typ ilustracji dziwnie przypominający rysownika niemieckiego. Czyż przez tego rodzaju mimikrę polskiego pisma w stosunku do pisma niemieckiego nie prowadzi się propagandy wyższości wydawnictw niemieckich? Czyż nie znaczy to, że w zakresie kultury niczego, co niemieckie, nie można — po tylu latach niepodległości — przezwyciężyć i przewyższyć. Zamiast tworzyć poczucie odrębności, samodzielności, niezależności w odniesieniu do każdej sprawy, zamiast poczucia honoru dla własnego „ja", daje się co tydzień pod marką polską świadectwo własnej niższości i niesamodzielności kulturalnej. Jeśli nie stać nas na pomysłowość, to przynajmniej powinno być stać na zdolność kompilacji szeregu wzorów pism zagranicznych. Nie, drukarnia i wydawnictwo Str. Narodowego w Poznaniu dla kresów zachodnich, zwycięsko wyzwalających się spod wpływów kultury niemieckiej, wypuszcza w świat polską kopię berlińskiego pisma. I gdyby się to działo z inercji, wystarczyłoby temu poświęcić dwa karcące zdania. Lecz sprawa jest poważniejsza, bo powodem jest interes handlowy, mianowicie liczenie się z przyzwyczajeniami przedwojennymi poznaniaków! Sam jestem urodzonym poznaniakiem, czuję się jednak zawsze głęboko dotknięty wmawianiem we mnie sentymentów wasalskich do cywilizacji niemieckiej! Gdyby nawet społeczeństwo kresów zachodnich było przyzwyczajone do tego typu pisma, to trzeba by było wbrew jego woli postępować i stopniowo zmieniać typ pisma, aby przestało być forpocztą wyższości niemieckiej razem z Odolem, Persilem itp. Czyż trzeba przypominać, że do utrzymania prężności narodowej potrzebne jest poczucie całkowitej odrębności i samoistności naszej kultury? Jeżeli Str. Narodowemu brak przewodnika w tym względzie, niech naśladuje choćby naszych masonów z XVIII w., tworzących własny, niezależny Nowy Wschód, dbających o rozwój i s t o t n i e polskiej kultury.

Źle się dzieje z nacjonalizmem „narodowców", który wydaje się tak samo na pokaz obliczony, jak dla efektu politycznego traktowane są sprawy kultury. Jeszcze jeden obrazek tego dziwnego stosunku przyniosła prasa z wiadomością, iż portret Dmowskiego — którego leader radnych Str. Narodowego postawił na równi z Bolesławem Chrobrym! — wykonuje Bułgar. Nie mam nic przeciwko miłym Bułgarom, lecz oficjalne portretowanie po śmierci jest faktem o znaczeniu politycznym, zwłaszcza, że taki nadano temu zdarzeniu ton. Niech by ten Bułgar malował, ale pospołu i między innymi malarzami, ale o tym nie słyszeliśmy. Prasa Stronnictwa chwaliła się natomiast: widzicie, nawet Bułgar... Przypominają się głosy oburzenia, jakie podnosiły się, gdy w konkursie katowickim Jugosłowianinowi poruczono stworzenie pomnika Marszałka Pił-

sudskiego. Wtedy oburzano się, że to obcy zarobi. Lecz wtedy Jugosłowianin zwyciężył w konkursie międzynarodowym, wtedy przez rozpisanie tego konkursu uczyniono ze sprawy pomnika Marszałkowi sprawę europejską, podkreślając, że to chodzi o człowieka miary międzynarodowej. Dobrze zrozumiały nacjonalizm daje się pogodzić z takim postawieniem sprawy. Tutaj jest inaczej. Nasi patentowani „narodowcy" zapraszają cudzoziemców bez konkursu, lecz jakby dla podkreślenia, że dopiero cudzoziemiec nadaje miarę wielkości portretowanego z poniżeniem artysty polskiego, postawionego poza konkursem!

We wszystkich tych konkretnych przypadkach przebija się brak zrozumienia spraw kultury, brak szczerego odczucia ich znaczenia, defetyzm i niewiara we własne siły i wartości. Na tym małym odcinku poznańskiej Rady Miejskiej, w tych pierwszych krokach debiutu politycznego, ujawniły się dawne prawie zapomniane wady i ułomności, bardzo niebezpieczne dla państwowości polskiej.

Na marginesie

GDAŃSK

Wśród aktualnych zagadnień na pierwsze bodajże miejsce w stopniu uczuciowego wzburzenia społeczeństwa wysunęła się sprawa Gdańska.

Jest to sprawa, która nie budzi różnicy zdań. Powtarzające się systematycznie na terenie Wolnego Miasta Gdańska prowokacje antypolskie spotykają się zawsze z dostatecznie żywą reakcją społeczeństwa. W danym wypadku prowokacje te spotkały się również ze zdecydowanymi i energicznymi krokami ze strony polskich władz państwowych.

Przypuszczamy, że następstwem podjętych kroków będzie uzyskanie doraźnej satysfakcji za zajścia ostatnie. Jednakże zagadnienie tym się nie wyczerpuje. Zajścia, których terenem była ostatnio Politechnika Gdańska, raz jeszcze wykazały stałą alternatywę układu stosunków na terenie Wolnego Miasta, która sprowadza się do tego, że albo na terenie Gdańska panuje daleko posunięta anarchia stosunków wewnętrznych i władze Wolnego Miasta nie panują nad sytuacją, albo Polska nie może wierzyć szczerości wielokrotnie ze strony tych władz powtarzanych zapewnień o woli poszanowania praw Polski i praw ludności polskiej na terenie Wolnego Miasta.

Zagadnienie to jest zagadnieniem zupełnie zasadniczym. Zarówno bowiem z punktu widzenia formalnego, jak przede wszystkim z punktu widzenia najgłębszych swych interesów, Polska ma zarówno prawo, jak obowiązek, czuwać nad tym, by teren Wolnego Miasta był terenem porządku, spokoju i bezpieczeństwa. Stan zaś tego rodzaju nie da się absolutnie pogodzić ani z atmosferą wewnętrznej anarchii i rozkładu, ani — tym bardziej — z atmosferą międzynarodowej intrygi i nieszczerej gry ze strony ludzi, którzy za stan spraw na terenie Wolnego Miasta ponoszą odpowiedzialność. I stąd wyjaśnienie sytuacji winno tu sięgnąć głębiej, niżeli tylko do ustalenia formalnej czy faktycznej odpowiedzialności za zajścia ostatnie.

MŁODZIEŻ

Na czoło zainteresowań ostatnich dni wysuwa się znowu sprawa młodzieży, ściślej młodzieży akademickiej. Złożyło się na to kilka momentów. A więc: 1. dyskusja sejmowa i senacka nad budżetem ministerstwa oświaty, 2. sprawa ostrej oceny metody postępowania rektora Bulandy przez b. premiera prof. Bartla, 3. systematycznie powtarzające się krwawe zajścia na wyższych uczelniach, w szczególności we Lwowie, 4. zajścia i manifestacje antyniemieckie w Warszawie, 5. dyskusja na marginesie przemówień gen. Skwarczyńskiego w sprawie tych ostatnich manifestacji.

Nie będziemy tutaj zatrzymywali się dla omawiania poszczególnych etapów i fragmentów sprawy. Chodzi o wnioski i oceny generalne. Zarysowują się one we wszystkich tych sprawach dostatecznie wyraźnie i jasno.

1. Nikt z czynników istotnie odpowiedzialnych za stan spraw na odcinku młodzieży nie jest z tego stanu zadowolony. Pan profesor Starzewski może bardzo wymownie dyskutować z panem posłem Stahlem na temat metod wychowawczych w stosunku do młodzieży — obaj jednak muszą być zgodni co do faktu, że powtarzające się „dość często na wyższych uczelniach niepokoje o charakterze przestępczym", „muszą być ścigane z całą surowością". Pan rektor Bulanda może czuć się mocno dotkniętym oświadczeniem prof. Bartla, że sprawą jego bierności, jako rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza, powinien się zająć prokurator — nie mniej pan rektor Bulanda musi mieć poczucie że wytworzenie na wyższej uczelni, podległej jego opiece, warunków, w których pewna część słuchaczy morduje w sposób najdzikszy kolegów innej narodowości, czy o innych zapatrywaniach politycznych pod osłoną eksterytorialności uczelni — jest czymś w najwyższym stopniu niemoralnym i niemożliwym do tolerowania, po prostu zbrodniczym. Jeżeli sprawą dróżnika kolejowego, który zaspał, czy zawiadowcy stacji, który przez złe rozporządzenie spowodował katastrofę, zajmuje się z reguły prokurator — to p. rektor Bulanda w swojej sprawie z prof. Bartlem, mimo uchwał akademickich senatów, nie może mieć zupełnie spokojnego sumienia.

Sprawa ostatnich zajść ulicznych w Warszawie ma nieco odmienny charakter ze względu na swe patriotyczne podłoże. Niemniej i tu trzeba się zdecydować. Albo zajścia te uznaje się za wyraz nie tylko patriotycznego uczucia, lecz i rozumu i wówczas można się do nich ustosunkować z uczuciem zadowolenia, czy pobłażania, albo uznaje się je za szkodliwe i wówczas trzeba mieć odwagę zdecydowanego przeciw nim wystąpienia. Metoda rozumowania „szkodliwe lecz chwalebne" jest metodą z gruntu fałszywą.

2. Na gruncie tak zwanego „starszego społeczeństwa", w odniesieniu do zagadnienia anarchicznych wystąpień młodzieży akademickiej, zarysowuje się coraz jaśniej podział na trzy kategorie stosunku:

a) Ludzie, którzy — rozumiejąc szkodliwość pewnych form wystąpień akademickich — patronują tym wystąpieniom dla celów partyjno-politycznych. Są to, krótko mówiąc, złoczyńcy.

b) Ludzie, którzy — rozumiejąc szkodliwość tych wystąpień — chcieliby jak najmocniej wytworzyć stan uniemożliwiający ich powtarzanie się, równocześnie jednak obawiają się czy o swą popularność wśród młodzieży, czy też po prostu o wywołanie niezadowolenia młodzieży. Są to przeważnie uczciwi w zamierzeniach, lecz szkodliwi w skutkach, demoralizatorzy.

c) Ludzie, którzy mają odwagę wyciągania wniosków ze swej zdolności rozróżniania złego i dobrego. Jedynie ci mogą być naprawdę szczerymi w zakresie stosunku do młodzieży wyrazicielami pewnej myśli wychowawczej.

3. W Polsce występuje coraz jaskrawiej dziwne pomieszanie pojęć w zakresie wszystkiego, co dotyczy tak zwanych „swobód akademickich". Zapomina się, że celem „swobód akademickich" jest wytworzenie atmosfery swobody myślenia, natomiast wytwarza się tego rodzaju sugestię, jak gdyby swobody te mogły służyć również swobodzie zbrodniczego działania, skierowanego zresztą w pierwszej mierze właśnie przeciwko istotnej swobodzie myślenia w postaci umożliwienia zorganizowanego terroru jednych akademików w stosunku do drugich. Jest to doprowadzenie sprawy już nie tylko do absurdu, lecz do szaleństwa. Jeśli jednak z tego szaleństwa może w następstwie wyciągnąć korzyści jakaś metoda, to tylko ta, której celem będzie całkowite usunięcie wszelkich teorji i zasad akademickiej swobody.

4. Zagadnienie młodzieży akademickiej jest nie tylko zagadnieniem politycznym. Jest to coraz bardziej również i zagadnienie moralne. Z tego powinni zdawać sobie sprawę ci, którzy liczą, że przy rozpalonych na wyższych uczelniach ogniskach anarchii patriotycznej uda im się upiec własną pieczeń politycznego interesu.

5. Zagadnienia młodzieży akademickiej

nie można identyfikować z zagadnieniem młodzieży w ogóle. Są to zagadnienia dziś całkowicie odrębne. Jeśli mówi się tyle o bankructwie szeregu haseł Wielkiej Rewolucji, to trzeba pamiętać, że jednym z najbardziej przeżytych haseł jest to, które całość Narodu chciało sprowadzić tylko do „stanu trzeciego", a w rezultacie zagadnienie młodzieży umiało widzieć tylko przez pryzmat akademika.

JESZCZE O WYBORACH

W poprzednim numerze poruszaliśmy temat pewnej mistyfikacji, jaka dokonywuje się — zresztą nawet bez poważniejszych sprzeciwów ze strony organów prasowych O.Z.N. — a której celem jest postawienie tezy, że izby wybrane w końcu ubiegłego roku, mają mieć jakgdyby charakter konstytuanty dla załatwienia jednej sprawy: ordynacji wyborczej.

Mistyfikacja ta trwa w dalszym ciągu, toteż do sprawy powracamy raz jeszcze. Nie chcemy cytować tutaj głosów niepoważnych, których jest bardzo wiele. Lecz jak naprzykład oświetla tę sprawę pismo poważne, „Kurier Warszawski", piórem poważnego publicysty, p. St. St.:

„Pan Prezydent Rzeczypospolitej, nie czekając na dotrwanie izb poprzednich do końca okresu ustawodawczego, rozwiązał je i polecił nowym izbom uchwalenie nowych ustaw wyborczych, celem otwarcia szerokim warstwom narodu dostępu do „czynniejszego współudziału w pracy dla państwa". („Kurier Warszawski", Nr. 50, art. „Na boiskach").

W zdaniu tym, w którym nie brak jest słów Orędzia Pana Prezydenta, ujętych w cudzysłów, zawarta jest zupełnie zasadnicza nieścisłość w odniesieniu do myśli Orędzia. Mianowicie Orędzie Pana Prezydenta umożliwienie „szerokim masom narodu" „czynniejszego współdziałania w pracy dla państwa" związało — wbrew twierdzeniu p. St. St. — nie z uchwaleniem nowej ordynacji wyborczej, lecz z „odnowieniem składu izb", to jest z zarządzonymi i przeprowadzonymi jesienią wyborami do obecnych izb ustawodawczych. Później dopiero następowało zdanie o ordynacji wyborczej i to bynajmniej nie w postaci „polecenia uchwalenia nowych ustaw wyborczych", lecz w postaci stwierdzenia: „oczekiwać będę zajęcia stanowiska w sprawie ordynacji wyborczej".

Znaczenie tego rodzaju nieścisłości jest bardzo poważne, bowiem:

1. ilustruje ona nie tylko fakt, lecz i rodzaj fałszywych sugestii, związanych ze sposobem dyskutowania o obowiązkach obecnych izb w stosunku do ordynacji wyborczej,

2. przerzuca odpowiedzialność za nieposzanowanie intencji Orędzia Pana Prezydenta z partii opozycyjnych, które — istotnie wbrew wyraźnemu dezyderatowi Orędzia — rzuciły hasło bojkotu wyborów, na izby, którym została pozostawiona swoboda zajęcia stanowiska w sprawie ordynacji, z jednym tylko zastrzeżeniem, iż mają na ten punkt zwrócić uwagę,

3. zataja, że „zajęcie stanowiska" może mieć jako rezultat nie jedną, lecz trzy ewentualności, tj.: 1. uznanie obecnej ordynacji za dobrą, 2. zmianę jej w dowolnym zakresie i kierunku, 3. uznanie celowości zmiany, lecz odroczenie terminu jej dokonania.

Raz jeszcze podkreślamy. Nie mamy zamiaru kruszyć kopii w obronie obecnej ordynacji wyborczej, czy osłabiać znaczenia sprawy jej reformy. Jednak dyskusja nad tą sprawą, jak każda zresztą dyskusja publiczna, powinna być uwolniona od elementów fałszywych. Próby nadużywania imienia Prezydenta Rzeczypospolitej w tej sprawie, przy równoczesnym bardzo istotnym już nie naginaniu, lecz wprost fałszowaniu treści Orędzia z dnia 13.IX.1938, muszą być traktowane tak jak na to zasługują, jako przejaw złych obyczajów politycznych i publicznych.

Sytuacja jest jasna. „Celem otwarcia szerokim warstwom narodu dostępu do „czynniejszego współdziałania w pracy dla państwa" rozwiązano poprzednie izby i zarządzono nowe wybory. Społeczeństwo — zgodnie z intencją Orędzia — ze sposobności tej skorzystało w bardzo szerokim zakresie. Intencji Orędzia próbowały sprzeciwić się partie polityczne, które w tym wypadku poniosły zdecydowaną klęskę. W interesie tych partii leżą możliwie szybkie nowe wybory. Próbują więc przeforsować tezę, że izby wybrane jesienią mają charakter tymczasowy. Teza ta — niezależnie od poglądu na obecną ordynację — utrzymać się nie da. Kto chce o nią walczyć, może szukać oparcia w wierszyku p. Minkiewicza, lecz nie w Orędziu z dnia 13 września. To jest sprawa jasna.

*

Lecz w dążeniu do przeprowadzenia tezy o tymczasowości obecnych izb i celowości nowych wyborów spotyka się też i inne sposoby argumentowania: próby oddziaływania na ambicję.

Oto jak argumentuje w „Kurierze Poznańskim" z dnia 1 marca r. b. p. prof. i b. poseł Roman Rybarski, polemizując z twierdzeniami, że wybory dały zwycięstwo Obozowi Zjednoczenia Narodowego:

„Jeżeli ogromna większość społeczeństwa zajmuje takie a nie inne stanowisko, a t. zw. „opozycja" to tylko „sztaby bez armii", to czy nie warto urządzić nowej rewii sił? Czy nie warto potwierdzić swej przewagi w nowych wyborach w których już ta „opozycja" nie mogłaby nie brać udziału?"

Pozornie nic prostszego. W państwie powinni być możliwie wszyscy zadowoleni. Są niezadowoleni z wyborów — wybory można powtórzyć. Znajdą się inni niezadowoleni — trzeba i ich zadowolić. Dokładnie ta sama metoda, którąśmy z rosnącą konsekwencją stosowali w przeszłości w odniesieniu do sejmów dawnej Rzeczypospolitej, szczególnie w drugiej połowie XVII i pierwszej XVIII wieku.

Punkt widzenia opozycji przypomina tu nieco sposób rozumowania tego chińskiego lekarza, który przesyłał porady na to, by rodzili się synowie nie córki, stwierdzając, iż jest to bez ryzyka, dlatego że w razie urodzin córki zupełnie nie pobiera honorarium. Oczywiście, obliczenie było oparte na przekonaniu, że w połowie wypadków warunki naturalne spowodują przyjście na świat syna. Otóż opozycja chce wytworzyć tego rodzaju obyczaj, w którym czynniki polityczne będą każdorazowo zastanawiały się, czy w danym momencie wygodniej wziąść udział w wyborach, czy zachować sobie swobodę następnego dopominania się o rozwiązanie izb, w założeniu, że może znowu warto urządzić „rewię sił".

Lecz Polska musi dążyć do maksymalnej stabilizacji wewnętrznej. Tego rodzaju metody sprzyjałyby wytwarzaniu obyczajów, które napewno nie mogłyby być wzorem zdrowia wewnętrznych stosunków państwowych.

METODY DYSKUSJI

Przytoczyliśmy wyżej nieścisłość streszczenia zasadniczych tez Orędzia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w artykule p. St. St. w „Kurierze Warszawskim".

Tutaj jednak może zachodzić przeoczenie, wynikające z sugestii myślenia o danej sprawie w pewien określony sposób. Jak jednakże określić tego rodzaju metody streszczania, jakie systematycznie można napotkać na łamach nie jakiegoś niezbyt odpowiedzialnego organu, lecz pisma z dużą tradycją i kulturą polityczną, mianowicie „Czasu".

Pan Marszałek Makowski mówi w wywiadzie o poziomie dyskusji sejmowej. Używa tutaj, między innymi, określenia, że rola dziennikarzy — sprawozdawców sejmowych jest obecnie utrudniona, ponieważ — wobec skoncentrowania i skrócenia dyskusji — nie mogą już w tej co dawniej mierze stosować metody „odwadniania" przemówień.

W politycznym felietonie „Czasu" (Nr. 23 z dnia 23.II) znajdujemy pod tytułem „Woda sejmowa" następujące streszczenie tej myśli:

„...tego rodzaju dyskusja nie stoi na poziomie Sejmu, który ongi słuchał wystąpień wielkich mówców, z którego trybuny padały już słowa, godne prawdziwych mężów stanu.

Poza niezmiernie rzadkimi wypadkami, poza fragmentami, trudno w ogóle mówić o poziomie, skoro się mówi o dyskusji sejmowej. P. marszałek przyznaje to zresztą pośrednio, kiedy powiada, że główną „robotą" sprawozdawców parlamentarnych było nie streszczanie dyskusji sejmowej, lecz jej „odwadnianie".

Poziom i woda w danym wypadku dość jaskrawe contradictio in adiecto".

Nie trzeba tłumaczyć, że dokonano radykalnego odwrócenia myśli. To co było

mówione o przeszłości odniesiono do teraźniejszości, przeszłości pozostawiając tylko chwałę „wystąpień wielkich mówców". Czy to jednak wypadek oderwany? Oto w kilka dni później gen. Skwarczyński przemawia, występując przeciwko „pewnym czynnikom partyjnym", przeciwko „reżyserom zajść ulicznych", stwierdzając, iż młodzież jest do tych zajść wciągnięta, unikając oskarżeń zwróconych przeciwko samej młodzieży.

„Czas", pisząc o tym w dniu 28.II w artykule pod pięknym tytułem „Odruch serca", wypowiada się również przeciwko „wszelkim odruchom, wszelkiej nieprzemyślanej akcji, która na terenie polityki, szczególnie polityki zagranicznej, może dać wręcz odmienne do zamierzeń skutki". Równocześnie jednak występuje z następującą admonicją pod adresem gen. Skwarczyńskiego:

> *„Stąd nie wynika jednak, byśmy wzorem p. gen. Skwarczyńskiego rzucali kamień potępienia na tych, którzy za młodzi są jeszcze, by nie kierować się przede wszystkim sercem..."*

I znowuż to, co było mówione pod adresem „reżyserów", przedstawione jest tak, jak gdyby dotyczyło bezpośrednio młodzieży. W momentach dużego rozdrażnienia modyfikacja tego rodzaju może nie być sprawą obojętną.

Są to drobiazgi. Lecz te drobiazgi zdają się wskazywać na metodę. Dobrze byłoby, aby Redakcja „Czasu" zwróciła większą uwagę na ścisłość sformułowań myśli cudzych w artykulikach swego politycznego felietonisty ze strony pierwszej.

KONSOLIDACJA W IMIĘ PRZESZŁOŚCI

W numerze 2-m wydawanego pod redakcją Wojciecha Wasiutyńskiego miesięcznika „Wielka Polska" znajdujemy wypowiedź na marginesie toczonej od pewnego czasu dyskusji na temat „konsolidacji", mającej za punkt wyjścia uznanie współwartości myśli politycznej Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego.

Tezie tej, reprezentowanej przeważnie przez ludzi lepszej woli niż myśli, przeciwstawialiśmy się nieraz. Obecnie możemy z całym zadowoleniem przytoczyć wypowiedź „Wielkiej Polski" na powyższy temat:

> *„...„Skonsolidowanie" Piłsudskiego z Dmowskim byłoby szczytem upadku myśli politycznej w Polsce, a nie podniesieniem jej na wyższy poziom. Nie należy zaciemniać świadomości politycznej narodu. Ci dwaj ludzie nie mogli się pogodzić nie przez jakieś ambicje, o co posądzanie ich ubliża nie tylko ich pamięci, ale i całemu narodowi, lecz dlatego, że ich plany poiltyczne były nie do pogodzenia inaczej jak w płaszczyźnie niedostępnego ludziom pełnego jasnowidzenia przyszłości. Można było być za jednym z nich przeciw drugiemu, można było ostatecznie być, zwłaszcza po odzyskaniu niepodległości, przeciw obu, ale nie można było być równocześnie za oboma".*
>
> *„Chcieć dziś jednoczyć Piłsudczyków i Dmowszczyków w imię wspólnego kultu dwóch tych wielkich Polaków, to by znaczyło jednoczyć ludzi w imię zaprzeczenia wszelkiego sensu polityce w ogóle". ...„To że Piłsudczycy rozbudowują wybrzeże morskie, a Dmowszczycy szerzą kult armii, nie jest żadnym przejawem konsolidacji, lecz najnormalniejszym w świecie objawem życia narodu przy zdrowych zmysłach".*

I wreszcie wniosek ogólny:

> *„Konsolidacja w imię przeszłości jest w Polsce i niemożliwa i bezsensowna. Jedynie celowe jest organizowanie ludzi w imię wspólnej przyszłości, w imię wspólnego celu".*

Z następnym już zdaniem, mówiącym bardzo optymistycznie, lecz i dosyć gołosłownie: „Na szczęście droga do Wielkiej Polski rysuje się tylko jedna, nie dwie" — zgodzić byśmy się nie mogli. Dróg tych, naszym zdaniem, rysuje się znacznie więcej i kto rozumie uzasadnienie celowości różnic myśli politycznej w stosunku do przeszłości, powinien rozumieć je również w stosunku do teraźniejszości i przyszłości.

Lecz to jest już sprawa inna. Na razie pragniemy podkreślić zgodność w poglądach, że o ile może być pożyteczna „konsolidacja", stawiająca sobie za cel uzgodnienie myśli czy działań, to „konsolidowanie" przez zlekceważenie wartości myśli politycznej jest niebezpieczną formą stosunku do zagadnień życia publicznego, polegającą nie na przezwyciężaniu, lecz jedynie na niedostrzeganiu realnie istniejących trudności, na nieposzanowaniu istotnie zasługujących na poszanowanie wartości.

NAGRODA I OJCZYZNA

Na marginesie wyboru laureata tegorocznej nagrody literackiej P. A. L. wciąż powraca pewna dyskusja. Dyskusja taka mogłaby być zdrowa. W każdej sprawie, a w sprawie oceny wartości literackiej pisarza i jego dzieła w szczególności, może zachodzić uzasadniona i uprawniona różnica zdań.

Są jednakże dwa momenty, które w formie prowadzonej przez niektóre pisma polemiki muszą szczególnie razić. Jeden, to niczym nieuzasadniona próba obniżenia moralnych kwalifikacji nagrodzonego pisarza. Drugi — to próba dyskontowania faktu, że wśród pisarzy nienagrodzonych jest również taki, który pisze utwory o charakterze patriotycznym.

Oba te momenty muszą razić dziwnie obcą polskiej, a zresztą i każdej istotnie wartościowej kulturze, niewrażliwością na to, co przystoi a co nie przystoi tam, gdzie obowiązują zasady postępowania „nie jak wygodniej, ale jak jest godniej".

Nie będziemy omawiać pierwszego momentu, który był kilkakrotnie już poruszany na łamach innych pism. Odnośnie drugiego — poradzilibyśmy niektórym pismom, mającym pretensje do tego, by być rzecznikami szczerze polskiej i narodowej kultury, odczytanie ustępu z „Księgi ubogich" Kasprowicza, zaczynającego się od słów:

> *„Rzadko na moich wargach —*
> *Niech dziś to warga ma wyzna —*
> *Jawi się krwią przepojony*
> *Najdroższy wyraz: Ojczyzna".*

Poeta, który to pisał, napewno nie był złym Polakiem, miał jednak poczucie tych wielkich niebezpieczeństw, jakie muszą powstać dla nadrzędnej wartości słowa Ojczyzna z chwilą, gdy w jakiejkolwiek formie dopuści się do wzajemnej licytacji o to, „kto ją najgłośniej wypowie."

Przykra uchwała

O ile jednak trzeba być bardzo ostrożnym w używaniu i nadużywaniu tego rodzaju słów jak „Ojczyzna", czy „Wolność" — to równocześnie trzeba pamiętać, że z każdego ich użycia muszą zawsze płynąć zarówno konsekwencje, jak obowiązki.

Do szczególnie charakterystycznych przykładów płycizny pojęć polskiego „nacjonalizmu" musi być zaliczony fakt, jaki miał miejsce w Poznaniu, gdzie jedną z pierwszych uchwał nowowybranej „narodowej" Rady Miejskiej była uchwała o zmianie nazwy „Placu Wolności" na plac Romana Dmowskiego.

Nikt w Poznaniu nie sprzeciwiał się oddaniu hołdu Romanowi Dmowskiemu przez nadanie nazwy jego imienia jednej z ulic, czy jednemu z placów. Ta jednak uchwała wywołała żywe niezadowolenie nawet w kołach poddanych wpływom Stronnictwa Narodowego. Że szczególnie ostrym sprzeciwem wystąpili ci, których działalność uprzednia związała się właśnie z walką o „wolność" — powstańcy.

Uchwała nie została zatwierdzona. Pozostała wymownym przykładem wyjątkowego braku taktu w stosunku do słów i pojęć, których istotnie dojrzałe społeczeństwa nie pozwalają bezkarnie ani nadużywać, ani używać nadaremno i bez konsekwencji.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Umowa polsko-sowiecka

(aa) Stosunki handlowe polsko-sowieckie kształtowały się najżywiej w okresie l. 1929 — 1931, kiedy wywóz z Polski do Sowietów osiągnął kolejno kwoty 81, 129 i 125 milionów zł. Były to sumy poważne, stanowiące przeciętnie ok. 6% całości eksportu polskiego. Przywóz z Z. S. S. R. był znacznie mniejszy; w r. 1929 wyniósł on 40 mil. zł, a więc niespełna półtora procent importu, w r. 1930 osiągnął poziom najwyższy 45,8 mil. zł, co stanowiło 2%, w r. 1931 udział procentowy wzrasta do 2,5%. Jest to jednak wynik spadku obrotów handlu zagranicznego, gdyż w cyfrach bezwzględnych przywóz z Rosji zmalał do 36 milionów zł. Od tego czasu rozpoczyna się zdecydowane zahamowanie wymiany z sąsiadem ze wschodu. W roku 1938 obroty nasze z Z. S. S. R. wyniosły 11 milionów zł, a więc zaledwie szesnastą część globalnej sumy z r. 1930.

Charakterystyczne, że o ile w okresie intensywnej wymiany nasz wywóz do Sowietów przewyższał znacznie przywóz i jeszcze w r. 1933 dodatnie saldo wywozu wynosiło przeszło 42 miliony zł, to w ostatnim trzechleciu zaczęliśmy więcej importować z Z. S. S. R., niż wywozić. Deficyt w r. 1936 stanowi już pokaźną kwotę 7,2 milionów zł, w następnym roku osiąga 10 mil. zł, w r. 1938 jest nieco mniejszy, ale jest to zasługa zamierającej wymiany, a nie zwiększenie prężności eksportowej.

Na tle tych cyfr widoczne jest, że podpisana w niedzielę dn. 19 lutego w Moskwie umowa o polsko-sowieckim obrocie towarowym stanowić będzie punkt zwrotny. Przewiduje ona, iż w r. 1939 oba kraje dokonają wymiany towarowej na łączną sumę 126 milionów złotych, co wyniesie ok. 5% obrotów naszego handlu zagranicznego. Z Z.S.S.R. importować będziemy do Polski wyłącznie surowce, przyczym najważniejszą pozycję stanowić będzie przywóz bawełny za ok. 26 milionów zł. Dzięki temu 25% naszego importu bawełny dotychczas opłacanego dewizami zostanie włączone do bezdewizowego rozrachunku towarowego. Poza tym przywozić będziemy rudę manganową, azbest, appatyty i szereg innych surowców dla przemysłu metalurgicznego, futra (ok. 14 mil. zł.), tytoń (ok. 6 mil. zł.) itd.

Wywóz do Z. S. S. R. oprze się przede wszystkim na węglu, artykule którego możliwości eksportowe i tak wielkie zwiększyły się znacznie po włączeniu Zaolzia. Z innych pozycji wymienić trzeba tkaniny i jedwab sztuczny, wyroby przemysłu chemicznego, maszyny włókiennicze, pewne typy obrabiarek itp. Wywóz węgla i przywóz bawełny odbywać się będzie wyłącznie drogą morską. Rozliczenia przeprowadzone zostaną w drodze clearingu w Państwowym Instytucie Rozrachunkowym.

Korzystnego znaczenia umowy polsko-sowieckiej dla naszego handlu zagranicznego, szukającego nowych rynków eksportowych, podkreślać nie trzeba. Wspomniałem już też o korzyściach dewizowych, które nie ograniczają się oczywiście do bawełny. Z kolei wypada wspomnieć o cieniach umowy. Kryją się one przede wszystkim w sceptycznej ocenie jakości surowców, jakie mają być dostarczane przez Z. S. S. R., zwłaszcza jeśli idzie o bawełnę i tytoń. Pewną wątpliwość budzić może również kwestia, czy Z.S.S.R. potrafi zapewnić regularną dostawę niektórych artykułów.

Jeśli jednak przewidywania te okażą się nawet słuszne, przy dobrej woli obu stron będzie można usunąć powstałe trudności. Zainteresowana będzie w tym Rosja sowiecka, pragnąca rozszerzenia wymiany z zagranicą dla przezwyciężenia szeregu wewnętrznych kłopotów gospodarczych, zainteresowana będzie również Polska. Leży bowiem w naszym interesie utrzymać i robudować stosunki handlowe przez wschodnią granicę, uzyskując w ten sposób bazę surowcową, uniezależnioną od zachodnich szlaków komunikacyjnych, niezwykle czułych w wypadku powikłań międzynarodowych. Pamiętajmy również, że w ostatnich latach nasz handel zagraniczny zaczął wykazywać tendencję do pewnej koncentracji — zwiększył się zwłaszcza udział Niemiec — a przecież zróżniczkowanie dostawców i odbiorców jest jedną z gwarancji niezależności ekonomicznej. Oto są zasadnicze powody, dla których umowa polsko-sowiecka jest posunięciem nadzwyczaj na czasie.

Na odcinku rolniczym

(aa) Nawet największy optymista nie będzie negował faktu, że rolnictwo nasze przeżywa okres ciężki. Sporna jest jedynie ocena rozmiarów strat poniesionych przez wieś na skutek gwałtownego spadku cen zbóż po ostatnich zbio.ach. Min. Poniatowski w jednym ze swych przemówień wygłoszonych w Sejmie w czasie dyskusji nad bu lżetem Ministerstwa Rolnictwa określił ich wysokość na sumę 100—120 mil. zł, jednocześnie podkreśl.ł, że powyższa poważna luka w dochodach rolniczych została w części skompensowana dzięki powiększeniu sprzedaży produktów hodowlanych oraz niektórych upraw przemysłowych — roślin oleistych i buraków. Wzrost dochodów z tych pozycji oszacował on na 80—100 mil. zł, a więc na sumę zbliżoną do poniesionych strat. W rezultacie globalny dochód rolnictwa ze sprzedaży produktów rolnych w r. bieżącym utrzymać się powinien jego zdaniem w prawie takich samych granicach jak w roku ubiegłym, osiągając wysokość ok. 2,5 miliardów zł. Dla porównania warto zaznaczyć, iż w okresie największej depresji gospodarczej dochód ten wynosił 1,6 miliarda zł.

W przeciwieństwie do oceny „sfer oficjalnych", które mówią jedynie o stabilizacji dochodów rolnictwa, przeciwnicy min. Poniatowskiego szacują straty efektywne poniesione przez wieś na sumy znacznie poważniejsze. Nie będziemy ich tutaj podawać, gdyż rozpiętość tych szacunków jest znaczna, a wartość, jak zresztą wszystkich tego typu obliczeń, jest problematyczna. Jest jednak pewna okoliczność, na którą trzeba zwrócić uwagę, a która tłumaczy rozbieżności poszczególnych ocen.

Zmniejszenie dochodów ze sprzedaży zbóż i zwiększenie ich w zakresie produkcji przede wszystkim hodowlanej może kompensować ogólną sumę dochodów wsi, nie kompensuje natomiast na pewno spadku i wzrostu dochodów w poszczególnych gospodarstwach. Nie idzie tu oczywiście o idealną równowagę strat i zysków poniesionych przez pojedyńczych gospodarzy, równowagę w praktyce nieosiągalną, lecz o wyrównanie ostatecznych rezultatów w zasadniczych typach gospodarstw. Mniejsza własność mniej produkuje zboża na sprzedaż, za to u niej koncentruje się hodowla; na ok. 7,5 miliona sztuk trzody chlewnej w r. 1937 tylko 6% znajdowało się w gospodarstwach, których wielkość przekraczała 50 ha! Odwrotnie wielka własność jest przede wszystk.m w swej kalkulacji gospodarczej nastawiona na dostawę zboża. Straty naskutek załamania się cen zboża ona przede wszystkim odczuła, korzyści z innych dziedzin produkcji rolnej zebrał w przeważającej mierze kto inny. Nic więc dziwnego, że z jej punktu widzenia ostatni okres jest dla rolnictwa wyjątkowo niepomyślny — tu leży podłoże tych rozbieżnych, subiektywnie słusznych ocen, o których wspominaliśmy, spotęgowanych zresztą nie od dziś datującą się antypatią do min. Poniatowskiego.

Nie przywiązując większej wagi do skrajnie pesymistycznych alarmów i uważając za bliższe prawdy dane urzędowe, wrócić jednak musimy do stwierdzenia, od którego zaczęliśmy notatkę, a mianowicie że rolnictwo znajduje się w sytuacji ciężkiej. Przychód jego ze sprzedaży własnych wytworów został zahamowany na poziomie zbyt bliskim dna kryzysowego, a tymczasem potrzeby gospodarcze narosły i nadal narastają w tempie wyjątkowo szybkim. Co gorsza na horyzoncie gromadzą się nowe chmury. W chwili obecnej ratują sytuację s t o s u n k o w o wysokie w porównaniu ze zbożem ceny artykułów hodowlanych. Stosunek ceny 1 kg żywego wieprza do 1 kg. żyta kształtował się w roku ubiegłym — mówię ciągle o roku gospodarczym obliczonym od 1 sierpnia do 31 lipca — średnio jak 4 : 1, dziś wynosi on 6 :1. Skoro hodowla trzody stała się bardziej opłacalną, spodziewać się należy szybkiego jej wzrostu. Tegoroczny spis wykaże zapewne wzrost pogłowia o 15—20% w porównaniu z r. ub. Część zwiększonej podaży potrafi może wchłonąć konsument w kraju, będzie to jednak cząstka stosunkowo niewielka. A co się stanie z resztą, czy zaciąży ona na rynku wewnętrznym, wpływając deprymująco na ceny, czy też zostanie wyeksportowana? Trudno w tej chwili snuć co do tego prognozy. Koniunktura eksportowa na odcinku artykułów hodowlanych jest w tej chwili niewyraźna. Jedno jest pewne — uniknięcie piętrzących się trudności będzie wymagało dużego wysiłku organizacyjnego, do którego trzeba przygotować się zawczasu.

Dr Wageman o ekspansji na Bałkany

(aa) O ile prasa nasza ma dość dobrze zorganizowaną obsługę w zakresie wiadomości politycznych, o tyle informacje gospodarcze są zbierane dorywczo i jeśli idzie o zagranicę przeważnie z drugiej ręki. Rezultatem tego jest przede wszystkim spóźniona reakcja na poszczególne wypadki. Pisząc np. o ekspansji niemieckiej na Bałkany, operuje się dotychczas danymi statystycznymi za lata 1935, 1936 i 1937, snuje się na ich podstawie szereg prognoz, wspomina się o układach i wizytach, a pomija się i nie dostrzega faktu, że walka między Niemcami a krajami wolno-dewizowymi, skomplikowana swoistą grą Włoch, nie tylko została rozpoczęta, ale już dała wiele materiału doświadczalnego. Wymowa niektórych zjawisk jest tak dobitna, że nawet Niemcy zaczynają je publicznie analizować, choć nie są one dla nich specjalnie pomyślne.

Za „Depeszą" podajemy nadzwyczaj interesujące wywody dra Wagemana, dyrektora niemieckiego instytutu badania koniunktur gospodarczych, który stwierdził, że w roku 1938 zarysowało się po raz pierwszy od lat pięciu w handlu między Rzeszą a krajami bałkańskimi szereg zahamowań. Dynamika wzrostu obrotów uległa zahamowaniu. Globalnie biorąc w r. 1938 obroty wzrosły co prawda o 1%, w tym eksport z Niemiec wykazał zwyżkę o 7%, a jedynie import z Europy południowo-wschodniej zmalał o 5%, jednakże wywóz niemiecki do Jugosławii, Bułgarii i Węgier uległ skurczeniu. Czemu to przypisać? Wageman przyznaje otwarcie, że chłonność rynków tych państw nie zmniejszyła się, że były to raczej następstwa kontrofensywy państw demokratycznych. Zastrzega się jednak, że wyniki tej kontrofensywy okazały się dla krajów bałkańskich niezbyt korzystne i spodziewa się, iż najbliższe miesiące powinny poprawić sytuację na rzecz Niemiec. Oczywiście zastrzeżenie to w ustach niemieckiego ekonomisty jest zrozumiałe.

Zastanawiający jest również spadek importu z krajów bałkańskich, podczas gdy ogólny import Rzeszy był w roku 1938 o 2% wyższy niż w r. 1937. Wageman tłumaczy to zjawisko pogorszeniem zbiorów zbóż w tych państwach, wyczerpywaniem się produkcji ropy w Rumunii, dalej wydarzeniami politycznymi w lecie i na jesieni 1938 roku. Te wydarzenia zdaniem jego pociągnęły za sobą tworzenie rezerw surowcowych i spożywczych, co ograniczyło eksport państw Europy południowo-wschodniej do Niemiec. Rzecz jednak charakterystyczna, że właśnie w okresie r. 1938 Anglia i Francja potrafiły bardzo wydatnie zwiększyć zakupy środków spożywczych i niektó-

rych surowców właśnie na tych rynkach.

Dr Wageman przyznaje się, że zakłócenie handlu zagranicznego Niemiec w stosunkach z krajami na półwyspie bałkańskim nastąpiło również w związku z Anschlussem i przyłączeniem Sudetów do Niemiec. Jest to twierdzenie o tyle interesujące, że oficjalne czynniki niemieckie dotychczas zaprzeczały informacjom o trudnościach, jakie towarzyszyły wcieleniu b. Austrii i Sudetów do organizmu gospodarczego Rzeszy.

Dalej technika obrotu clearingowego pomiędzy Niemcami i Europą południowo-wschodnią powoduje dla tych państw różnorakie trudności, których starają się one uniknąć. Do takich trudności zaliczyć należy niechęć importerów wschodnio-europejskich do tworzenia zapasów importowanych z Niemiec artykułów przemysłowych, których rynki tych państw nie mogą w tak wielkiej ilości wchłonąć. Pogorszyło to wyraźnie sytuację Niemiec na tych rynkach.

Oczywiście wnioski Wagemana pomimo odmalowania tych wszystkich trudności są optymistyczne. Słusznie jednak podkreśla „Depesza", że sytuacja może ulec jeszcze bardziej gwałtownej zmianie na niekorzyść Niemiec dzięki przyciągniętym do współpracy z państwami zachodnimi Stanom Zjednoczonym.

FELIETON TEATRALNY

Trzy epoki w trzech godzinach

(s.) Pomiędzy krytyką teatralną i teatrami warszawskimi istnieje od dłuższego czasu stan pewnego rodzaju wojny repertuarowej. Teoretycznie w wojnie tej krytyce przypada rola bezporównania piękniejsza i szlachetniejsza. Gdy bowiem teatry, idąc po linii najmniejszego oporu, skłonne są wybierać sztuki bez większej i trwalszej wartości — krytyka jest głosem artystycznego sumienia, przypominającym istnienie wielkich pisarzy i wielkiego repertuaru. W rezultacie co jakiś czas — przeważnie raz lub dwa razy do roku — następuje wielkie święto: na deski teatralne wchodzi poezja, na afiszach pojawiają się nazwiska, znane już nie tylko ze szpalt dzienników, lecz i z grubych tomów literatury.

I wówczas powtarza się pewne charakterystyczne zjawisko. Teatry są zadowolone z siebie, przede wszystkim zaś są zadowolone z publiczności, która przychodzi, wypełnia miejsca, bije brawa, — krytycy jednak w dalszym ciągu nie są zadowoleni ani z teatrów, ani ze swego moralnego sukcesu. Powód niezadowolenia jest prosty: krytykom nie podobają się wystawione sztuki. Mówią wówczas: Wyspiański tak — lecz pocóż akurat „Noc listopadowa", Calderon tak — lecz pocóż „Życie snem", Norwid tak — lecz pocóż akurat „Pierścień wielkiej damy", czy „Miłość czysta u kąpieli morskich".

Zjawisko powyższe powtarza się tak systematycznie i nieodmiennie, że narzuca się tylko jedno wytłumaczenie. Zdaniem większości krytyków warszawskich wielcy poeci zdają się mieć wszystkie zalety i zasługują na najwyższe uznanie, równocześnie jednak mają i jedną wadę: p i s z ą s z t u k i o k r o p n i e z l e. I stąd Calderon jest wielkim pisarzem, lecz jeden z jego najlepszych i najpoetyczniejszych dramatów — utworem poronionym, Norwid — ponad krytyką, lecz jego najbardziej nawet teatralne komedie salonowe — wielką pomyłką zarówno samego poety, jak teatru, który je do wystawienia zakwalifikował. I tak ciągle.

Wytłumaczenie tego zjawiska jest tylko jedno: większość krytyków poezję bardzo szanuje, lecz jej nie lubi. I stąd każde bezpośrednie zetknięcie kończy się rozczarowaniem. Rozczarowanie to — co jest charakterystyczne — w mniejszym stopniu odbija się na szerokich kołach publiczności teatralnej, która zdaje się silniej odczuwać głód czy pragnienie poezji, niżeli jej duchowi przewodnicy ze szpalt czasopism.

*

Uwagi te, którym raz już dawaliśmy wyraz po wyjątkowo ostrym i zgodnym „zjechaniu" w roku ubiegłym przez krytykę warszawską już nie teatru, lecz wprost Calderona, nasuwają się znów na marginesie ocen eksperymentu teatralnego, którym był t. zw. „wieczór jednoaktówek" w Teatrze Nowym.

Głosy krytyki dadzą się niejako podzielić na cztery grupy: jedna to ci, którzy, chwaląc wybór Rittnera, są niezadowoleni z Norwida i Czechowicza, drudzy — zadowoleni z Norwida, lecz niezadowoleni z Rittnera i Czechowicza, trzeci — zadowoleni z mniejszymi czy większymi zastrzeżeniami z Norwida i Rittnera, lecz niezadowoleni z Czechowicza. Wreszcie — czwarta — niezadowoleni ze wszystkich autorów. Pomostem porozumienia jest więc przeważnie Czechowicz, z którego już wszyscy zgodnie są niezadowoleni. Oceny pozytywne całości wieczoru, z punktu doboru wszystkich trzech sztuk, niezmiernie rzadkie.

Tymczasem wieczór ten, w tym właśnie zespole sztuk, był niewątpliwie ciekawy. Odrębność typów twórczości, odrębność poziomów artystycznych bezsporna, lecz wysoce pouczająca. Przede wszystkim zastanawiająca zbieżność pomiędzy typem sztuki i typem życia w poszczególnych epokach.

Norwid — to druga połowa XIX wieku. Pomiędzy entuzjazmem epoki romantycznej i w literaturze i w polityce a trzeźwością i s y s t e m e m epoki pozytywistycznej wywiązują się tarcia, które stanowią namiastkę dramatów dla ludzi o powierzchownym szablonie teatralnych uczuć. Niewyraźna granica pomiędzy samobójczym rzuceniem się w morze z rozpaczy i codziennym kąpielowym z nudów — odpowiada pustce schodzącego już z widowni teatralnej, do niedawna szczególnie uprzywilejowanego, świata salonowych bohaterów. Tymczasem jeszcze pałacowe cienie błąkają się po piaskach nadmorskiej plaży, dając wyraz wysokiej kulturze myśli i słowa w służbie błahych uczuć.

Rittner — to już epoka inna. Salonowa nuda, przeszczepiona na grunt mieszczański, wyrosła do rozmiarów klęski metafizycznej. „Nowa" literatura — zanim się odrodzi istotnie — żyje mieszaniną naturalizmu, mętnej filozofii i perwersji. „Sztuka o koźlich nogach" odgrywa w pewnej mierze tę rolę, jaką w innych epokach schyłkowych odgrywały krwawe igrzyska i widok śmierci na arenie.

Czechowicz — tutaj mamy już do czynienia z zupełnie innymi elementami sztuki. Momenty indywidualne zeszły na plan dalszy. Na czoło wysuwają się momenty jakiejś zbiorowej odpowiedzialności, niedostatecznie skonkretyzowane akcenty społeczne, nieco melodramatyczne motywy patriotyczne. Powietrzem sztuki jednak jest coś innego: poczucie wielkiego zbiorowego ucisku, jakiegoś powszechnego niepokoju, świadomość tających się zamachów na każde jednostkowe szczęście i spokój. I znowuż mamy tu dość charakterystyczne cechy pewnej epoki, tym razem niestety, a może na szczęście, epoki nam najbliższej.

Nie będziemy tutaj zatrzymywali się dłużej nad oceną artystycznej wartości tych sztuk. Norwid jest już dziś niejako ponad tego rodzaju oceną, przyczym jest i zawsze będzie pozycją specjalną, rzec by można „amatorską". Może się podobać lub nie podobać. Zastrzeżenie musi budzić dopiero wspomniany na wstępie stosunek, wyrażający się wielkim ubóstwieniem poety przy równoczesnym negatywnym stosunku do jego utworów, w których, jak choćby właśnie w „Miłości czystej u kąpieli morskich", wyraziły się bardzo istotne cechy jego twórczości: oryginalność wiersza i słowa, staranność przy równoczesnej delikatności rysunku postaci, wreszcie ta specyficzna ironia, która jest cechą całej twórczości Norwida, będąc, jego zdaniem, „koniecznym bytu cieniem".

Sztuka Rittnera jest dzisiaj niewątpliwie ciekawszym fragmentem scenicznym, niżeli byłaby przed laty trzydziestu czy czterdziestu. Wtedy byłaby jednym z numerów licznej serii makabrycznego repertuaru „Grand Guignolu", dzisiaj jest, między innymi, dokumentem epoki. Byłoby zapewne bardzo źle, gdyby sztuka ta stała się popularną sztuką teatrów ludowych, wystawienie jej w teatrze eksperymentalnym, szczególnie w tego rodzaju zespole sztuk, uznać należy za pomysł szczęśliwy.

Wreszcie Czechowicz? — Niechętna krytyka ma tutaj bardzo łatwe pole do działania. Zestawić dobrą sztukę teatralną z tak różnych elementów i z tak różnych motywów napewno nie jest rzeczą łatwą. Nie znaczy to jednak, by wystawienie sztuki Czechowicza było błędem. Sztuka ma niewątpliwie szereg rzucających się w oczy sztuczności, naiwności, czy niedociągnięć. Równocześnie jednak ma także atmosferę wysokich i uprawnionych aspiracji nowatorstwa scenicznego i poetyckiego. I tutaj łatwość negatywnych sądów niejednokrotnie prowadzi do omyłek. W podobnych wypadkach słuszniejsza jest metoda zwracania uwagi na wartości, niżeli na strony słabe. Wiele doświadczeń przeszłości powinno tu być ostrzeżeniem.

Jeżeli dodać do tych ocen bardzo staranną wystawę i dobrą na ogół grę— trudno odmówić całości wieczoru wysoce pozytywnej klasyfikacji. Surowość znacznej części krytyków wydaje się tu być zjawiskiem niezbyt uzasadnionym.

O NAS U OBCYCH

Sytuacja wewnętrzna, widziana w Gdańsku

Organ partii narodowo - socjalistycznej w Gdańsku — Der Danziger Vorposten — przyniósł w jednym z ostatnich numerów (nr. 46) obszerną analizę sytuacji politycznej w Polsce, pochodzącą spod pióra współpracownika warszawskiego D. D. V. — Artura Reissa.

Punkt wyjścia powyższej analizy stanowi sejmowa debata budżetowa: Reiss podkreśla, że debata ta wzbudziła duże zainteresowanie w opinii publicznej i że partie opozycyjne pilnie i uważnie śledziły wypowiedzi „szarych ludzi" sejmowych na temat takich spraw, jak: stosunek OZN do rządu oraz do poszczególnych ministrów, projekty zmiany ordynacji wyborczej, rządowe plany na przyszłość itd. W interpretowaniu tych wypowiedzi, przede wszystkim zaś wypowiedzi, pochodzących z kół Obozu Zjednoczenia Narodowego, celowała przede wszystkim prasa opozycyjna, klasyfikując je jako różnice i dysonanse, zaznaczające się między Obozem z jednej, a Rządem czy też poszczególnymi ministrami z drugiej strony. Kierownicy partyj opozycyjnych spodziewają się, że różnice te przy nadarzającej się okazji wystąpią na światło dzienne, demonstrując słabość i skłócenie wśród ludzi reżimu i że w takiej chwili ich szanse polityczne mogą wzrość poważnie.

Aktualna sytuacja powaśnionych ze sobą i negatywnie do obecnego systemu rządowego ustosunkowanych partyj opozycyjnych jest jednak słaba. Ludzie, którzy dzisiaj dzierżą w swoich rękach ster rządów w państwie, dobrowolnie władzy nie oddadzą, dopóki nie wykonają zadań, jakie na nich, jako na wykonawcach testamentu Marszałka Piłsudskiego, spoczywają. Ludzie ci nie łudzą się wcale, że cel, do którego zmierzają, jest bliski. Wiedzą oni również i to, że jeszcze dzisiaj duże odłamy społeczeństwa polskiego nie wykazują pełnego zrozumienia dla ich poczynań i że dużo jeszcze czasu i wysiłku

trzeba będzie włożyć w przeszczepienie w społeczeństwo polskie myśli państwowej Marszałka Piłsudskiego. Wyniki ostatnich wyborów samorządowych wskazały Obozowi Zjednoczenia Narodowego na stan nastrojów w masach społeczeństwa. Ludzie ci jednak nie dadzą się sprowadzić z raz obranej drogi ani nastrojami w społeczeństwie, ani też akcjami politycznymi opozycji, czy też pewnych kół z dawniejszych ugrupowań rządowych, z konserwatystami na czele, którzy podają w wątpliwość uprawnienia ludzi dzisiaj rządzących do wykonywania testamentu politycznego Marszałka. Stwierdzić trzeba — powiada Reiss— że ludzie ci są jednak w pełni upoważnieni do uważania siebie za wykonawców tego testamentu, gdyż przeciwko nim zwracają się te same siły opozycji, które w swoim czasie zwracały się przeciwko Marszałkowi Piłsudskiemu. Co ważniejsze jednak, to to, że głos decydujący i moc decyzji posiadają właśnie ci ludzie i od nich właśnie, a nie od kogo innego zależy właściwe ukształtowanie życia państwa.

Nowy sejm — ciągnie dalej Reiss— stanowi klasyczny przykład prowadzonej przez decydujących w Polsce mężów stanu od szeregu lat walki z partyjnictwem i wszelkimi jego przejawami. Opozycja zarzuca sejmowi, że nie posiada on poziomu, że członkowie jego nie rozumieją się wiele czy wcale na polityce i że wreszcie ma on być powolnym narzędziem w rękach Obozu Zjednoczenia Narodowego, zapominając o tym, że parlamentaryzm w Polsce przeszedł poważną ewolucję i że z tego względu nie można obecnego sejmu porównywać z żadnym innym z poprzednich sejmów. W Polsce dokonała się na odcinku parlamentarnym taka sama ewolucja, jaka miała miejsce w Łotwie i w Estonii, zarówno bowiem tu, jak i tam bujnie rozkwitnął w swoim czasie parlamentaryzm swoistego typu, uniemożliwiający pozytywną pracę państwową. W Polsce doszła w tym samym czasie do głosu sejmokracja, działalnością swoją przypominająca czasy rozbiorów, sejmokracja, usuwająca w cień władzę wykonawczą i zagrażająca w ten sposób poważnie bytowi nowopowstałego Państwa Polskiego.

Zasadnicza zmiana nastąpiła w maju 1926 roku, kiedy to Marszałek Piłsudski radykalnie zlikwidował powyższą anomalię. Od tej chwili zaczęło się szukanie nowych form życia wewnętrzno - politycznego i parlamentarnego w Polsce. Partie zostały skazane na zagładę. Na widownię wystąpił Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, stanowiący nie tyle zwartą całość ideową, ile syntezę prądów, zmontowaną w oparciu o autorytet Marszałka Piłsudskiego. W kilka lat potem otrzymała Polska konstytucję z kwietnia 1935, dzięki której reprezentacje parlamentarne stały się jedynym z organów władzy jednolitej i niepodzielnej, spoczywającej w rękach Prezydenta Rzeczypospolitej.

Nie można jednak wysuwać w związku z tym twierdzenia, że dzięki Konstytucji Kwietniowej reprezentacje parlamentarne straciły swoje znaczenie w życiu państwa. Jakkolwiek rola ich, polegająca na kontroli i krytyce prac rządu, nie może być przeceniana ze względu na przynależność większości posłów do Obozu Zjednoczenia Narodowego, który unika wystąpień, mogących dokumentować istnienie jakichś różnic między Obozem a Rządem czy jego członkami, należy podkreślić, że parlament w Polsce stanowi dzisiaj kuźnię wychowania moralno - politycznego w duchu ideologii państwowej Piłsudskiego. Dzięki temu mianowicie, że członkowie Rządu oraz posłowie i senatorowie z Obozu Zjednoczenia Narodowego zajmują w Sejmie i Senacie stanowisko wobec różnych spraw i zagadnień państwowych, kierownictwo nawy państwowej ma możność informować w ten sposób szerszy ogół społeczeństwa o swoich planach i zamierzeniach i plany te oraz zamierzenia odpowiednio formułować i je uzasadniać. W poważnym stopniu przyczynia się do propagowania planów i zamierzeń rządowych opozycja, polemizująca z nimi i atakująca je na łamach swojej prasy.

W ostatnich czasach prasa opozycyjna pisała wiele na temat różnic, istniejących pomiędzy Obozem Zjednoczenia Narodowego a kilkoma członkami Rządu, przede wszystkim zaś wicepremierem Kwiatkowskim. Sytuację wyjaśnił szef Obozu gen. Skwarczyński, stwierdzając, że przypuszczenia opozycji na temat istnienia różnic pomiędzy Obozem a panem Wicepremierem są nieistotne, gdyż Rząd został powołany przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i nie jest zależny od jakichkolwiek czynników politycznych. Niezależnie od tego należy — zdaniem Reissa — stwierdzić, że o istnieniu konfliktu między Obozem i Rządem nie może być mowy, gdyż zarówno jeden, jak i drugi składa się z ludzi, cieszących się pełnym zaufaniem Pana Prezydenta Rzplitej.

Rząd Polski — kończy Reiss — stoi w obliczu szeregu nierozwiązanych jeszcze problemów, będąc równocześnie zmuszony do przeprowadzenia akcji, w społeczeństwie niepopularnych. Rząd nie może w całym szeregu wypadków, jak np. ma to miejsce w sprawie żydowskiej, zdobyć się na decydujące rozwiązanie spraw, których załatwienia domaga się większość społeczeństwa polskiego i młodzież. Nie dysponuje większymi rezerwami finansowymi. Rząd nie może też wpłynąć decydująco na poprawę sytuacji gospodarczej kraju. Wszystko to stwarza dla Obozu ogromne trudności, tym bardziej, że opozycja z lewa i z prawa operuje błyskotliwymi hasłami, co z kolei zmusza Obóz do przeprowadzenia akcji, które można słusznie czy niesłusznie uznawać za wyraz dezaprobaty działalności poszczególnych ministrów. Obóz nie operuje przytem takim zasobem popularnych haseł, jaki stoi do dyspozycji kół opozycyjnych. Tego rodzaju stan rzeczy nie ułatwia Obozowi penetracji do mas, stanowiąc poważne obciążenie dla jego rozwoju i prac. System kierowanej demokracji w Polsce stoi przed całym szeregiem ciężkich prób.

PRZEGLĄD PRASY

Wizyta min. Ciano

Wizyta min. Ciano w Warszawie, stanowiąca wydarzenie polityczne dużej miary, spotkała się w opinii polskiej z wyjątkowo przychylnym przyjęciem. W wystąpieniach prasy polskiej, poświęconych wizycie, dominują dwa motywy, wyrażające się w podkreślaniu momentu tradycji w przyjaźni polsko - włoskiej oraz w stwierdzeniu, że stosunki wzajemne mimo różnic ustrojowo-państwowych tradycji nie naruszyły. Oto krótkie pokłosie ważniejszych głosów i opinii prasy polskiej o wizycie.

GAZETA POLSKA podkreśliła w artykule wstępnym aktualne znaczenie wizyty z punktu widzenia podstawowych zasad polityki obu państw:

„W pierwszej połowie marca 1938 r. złożył wizytę oficjalną w Rzymie minister spraw zagranicznych Rzplitej, płk. Józef Beck. Obecny nasz gość, minister Ciano oświadczył wtedy: „Nienaruszalna przyjaźń, oparta na wspólnocie interesów i woli obu rządów przyczynienia się do dzieła pokoju, łączy nasze kraje". Minister Beck został przyjęty z wielką serdecznością przez rząd i społeczeństwo włoskie, co opinia polska potrafiła należycie ocenić.

Przyjazd ministra Ciano jest rewizytą na ówczesne odwiedziny ministra Becka w Rzymie. Przyczyni się on do dalszego wzmocnienia tej nienaruszalnej przyjaźni polsko-włoskiej, która opiera się na wspólnocie interesów i wzmacnia dzieło pokoju. Stosunki polsko - włoskie mają charakter ściśle bilateralny. Nie są i nie mogą być skierowane przeciw nikomu. Ministrowie spraw zagranicznych Polski i Włoch będą mieli sposobność do omówienia w Warszawie rozmaitych spraw wzajemnie interesujących oba kraje. Spotkanie to jest wyrazem chęci podtrzymania osobistych kontaktów między zaprzyjaźnionymi rządami, jest jednym z ważnych i cennych aktów tej „żywej dyplomacji", której znaczenie minister Beck nieraz z naciskiem podkreślał."

Ten sam dziennik opublikował tekst wywiadu, jaki współpracownikowi pisma, red. K. Smogorzewskiemu, udzielił B. Mussolini:

„Przed dwudziestu laty naród włoski z zapałem powitał wskrzeszenie Polski. Cudownym wydał się wówczas bohaterski wysiłek narodu polskiego, dźwigającego swoje sztandary i zdobywającego bronią swych bohaterskich legionistów niepodległość i zjednoczenie ojczyzny.

Jeszcze cudowniejszy jest wysiłek dokonany w ciągu tych dwudziestu lat, dzięki któremu Polska potrafiła zbudować ustrój polityczny i wojskowy zapewniający jej to stanowisko między wielkimi mocarstwami, do jakiego ma prawo oraz tak ważną rolę w życiu Europy, do której jest powołana przez swe położenie geograficzne i swoją tradycję historyczną.

Niepodobna dziś przystępować do rozwiązywania zagadnień równowagi politycznej i współżycia między narodami europejskimi bez współpracy Polski. I w tym właśnie ujawnia się, w całej swojej doniosłości dzieło dokonane przez Marszałka Piłsudskiego i przez tych, którzy z wiernością umieli utrzymać i kontynuować to dzieło w Jego duchu.

Nowa Polska powstała — podobnie jak Faszystowska Italia — z odwagi i z wytrwałości swoich synow, zbudowana wolą młodego pokolenia żołnierzy. Do dawnych związków kulturalnych, łączących nasze dwa narody przybył w ostatnich latach węzeł tej wspólnoty ideowej, która wraz z harmonią ich interesów politycznych zapewnia przyjaźni naszych dwuch krajów realną i trwałą podstawę.

Mussolini"

KURJER WARSZAWSKI w ciekawym artykule St. Strońskiego naświetla jeden z fragmentów polityki europejskiej, obchodzących i interesujących oba państwa, t. zn. zagadnienie sąsiedztwa niemieckiego:

„To, że od roku już i Włochy, tak jak Polska, sąsiadują bezpośrednio z Rzeszą Niemiecką, która doszła pod Brenner i w pobliże Triestu, jest czynnikiem zbliżającym niezawodnie, w dalszym spojrzeniu, politykę włoską z polityką polską.

Mogliśmy to sobie wspólnie tak bodaj dzisiaj określić.

Bardzo się cieszymy, że mamy, jedni i drudzy, dobre stosunki z Niemcami. Ale zarazem i przede wszystkim sobie wzajemnie dobrze życzymy. Nie powie przeto Polska: niechaj Niemcy napierają ku Adriatykowi, Bałkanom i Bliskiemu Wschodowi, gdzie tak żywotne jest pole działania Włoch, bo to odciąga czy opóźnia ich napór w nasze strony. Nie powie też Italia: niechaj Niemcy raczej krzątają się nad Bałtykiem i podsuwają ku Karpatom, spozierając w swych zamysłach na wielkie przestrzenie Rosji, do której jednak nie mogą dotrzeć bez wciągnięcia i okrążenia Polski, byle południe, koło nas, zostawili w spokoju. Nie w tym rzecz dla nas, jednych i drugich, czyja kolej bliższa, a czyja dalsza. Wspólnie dbać o to musimy, by Niemcy w ogóle zaniechały dalszego posuwania się na wschód, czy południowy czy północny, mając swobodę wyboru kierunku i kolejności, a na to trzeba, by tu i tam nie czuły łupu za blisko dzioba, ma lungi fia dal becco l'erga, jak mówi Dante.

Taka współpraca Włoch i Polski na rzecz równowagi środkowowschodnio europejskiej, zapewnienia temu obszarowi spokoju i odchylania odeń nacisku jakiejkolwiek przewagi, będzie też bardzo doniosłą pracą na rzecz pokoju Europy".

Stronie gospodarczej wzajemnych stosunków polsko-włoskich poświęca dużo uwagi DEPESZA:

„Sądząc z asysty naszych dostojnych gości i z programu przyjęcia, sprawy gospodarcze omawiane nie będą. Nie znaczy to jednak, by nie miały one również ważkiego znaczenia w stosunkach Polski i Włoch. Oba te kraje łączy nietylko wspólna kultura i wspólne zadanie polityczne, lecz również łączy je splot realnych interesów ekonomicznych. Wspominaliśmy już o włoskiej pożyczce stabilizacyjnej, emitowanej przez Banca Commerciale w Mediolanie w r. 1924. Dodajmy, że Italia była jednym z pierwszych państw, z którymi Polska zawarła normalną umowę handlową (t. zw. konwencję genewską z r. 1922), która oparła stosunki gospodarcze polsko-włoskie na klauzuli największego uprzywilejowania. Następnie zawarto układ naftowy (31 st. 1923 r.) i układ finansowy (10 marca 1924).

W handlu włosko-polskim górował początkowo bardzo znacznie import z Włoch nad wywozem z Polski, z biegiem czasu jednak ustaliła się tendencja wyrównawcza. Najwyższy poziom osiągnął wywóz węgla polskiego w roku 1927 (53 milionów złotych) wskutek strajku w kopalniach angielskich, a najwyższe obroty zanotowano w r. 1927 (137 miln. zł.), a więc w okresie przed kryzysem. Reglamentacja handlu zagranicznego w Italii

(grudzień 1934) i w Polsce (paźdz. 1934) otwiera nowy okres wymiany gospodarczej, której nie zaszkodziły tzw. sankcje ekonomiczne Ligi Narodów z 19 paźdz. 1935. Polska uczyniła wszystko, by ostrza tych sankcyj stępić w obrotach włosko-polskich: zastrzegła się, że będzie w dalszym ciągu wykonywać zobowiązania, wynikające z pożyczki z r. 1924 oraz umów specjalnych co do budowy statku „Batory" we Włoszech i dostaw Fiata dla Państwowych Zakładów Inżynierskich.

Dn. 18 maja 1937 zawarty został nowy polsko-włoski układ kontyngentowy i płatniczy, do którego wprowadzono conto turystyczne, w myśl czego wywóz polski przewyższać ma o 20% import z Włoch, a nadwyżka w bilansie idzie na potrzeby turystów polskich w Italii. W ten sposób Włochy za wydatki turystów polskich nabywają w Polsce nasze wyroby i materiały".

Sejm uchwalił budżet

W związku z zakończeniem przez Sejm prac nad budżetem NOWY KURJER (nr. 48) podkreśla z uznaniem za generalnym sprawozdawcą budżetu, posłem Sowińskim, że trzy działy: preliminarz P. Prezydenta Rzplitej, preliminarz Min. Spraw Wojskowych oraz preliminarz Min. Spraw Zagranicznych nie spotkały się z żadnymi krytycznymi zastrzeżeniami:

„Poza tymi trzema działami, co do których Sejm stanął na stanowisku bezwzględnej aprobaty, całkowitego uznania i pełnego zrozumienia zarówno nadrzędnej roli Głowy Państwa, prymatu potrzeb obronnych i zrozumienia dla linii kierunkowych naszej polityki wobec świata ościennego — cała dyskusja, jaka toczyła się w komisji budżetowej i na plenum Sejmu, daje się sprowadzić do dwu zasad naczelnych, do dwu wskazań i pewników: budżet nasz musi być zrównoważony i musi być realny.

Te obie zasady uznane zostały prze Polskę po doświadczeniach, jakie poczyniliśmy w latach kryzysowych — jak się wyraził pos. Sowiński — „za fundament zdrowej polityki walutowej" i uzupełnijmy to określenie: za normę, bezwzględnie obowiązującą. Wiemy bowiem aż nadto dobrze, jakie niebezpieczeństwa mieszczą się w przewidywaniach budżetowych, nie opartych o zasadę równowagi i w pozyciach budżetowych, nie mających absolutnej realności. Państwo nasze — słusznie podkreślił generalny referent budżetu — po wielu latach niedociągnięć i płynności na tym odcinku weszło na drogę realnie preliminowanego i wykonywanego w sposób zrównoważony budżetu państwowego i to po obydwu stronach, dochodowej i wydatkowej, co ma niesłychanie ważne znaczenie dla życia gospodarczego państwa.

To też tylko w ramach równowagi i realności przewidywań budżetowych mogą być pozytywnie załatwiane wszelkie wnioski, płynące z inicjatywy poselskiej. Każdy wniosek, przekraczający te ramy, jest z góry skazany na niepowodzenie".

Oczywiście w hierarchii naszych potrzeb znajdują się jeszcze olbrzymie zaległości Jak słusznie podkreśla „NOWY KURJER":

„Odpowiedzią jedyną na te olbrzymie potrzeby musi być skupiony wysiłek twórczy, musi być zespolenie sił, zjednoczenie, obejmujące jak największy zasięg. „Obóz Zjednoczenia Narodowego — mówił w Sejmie generalny sprawozdawca budżetu — podjął na swe barki ogromny trud rąbania ścieżek pod przyszły, mocarstwowy rozwój narodu i państwa. Nie zrażą nas żadne przeszkody, przeciwnie, w ogniu zmagań hartować i krzepić będą nasze szeregi. Nie buduje nic negacja, zwątpienie, bierność, biadolenie. Tylko czyn wykuwa przyszłość".

Ta też świadomość wycisnęła piętno na ostatniej debacie budżetowej w Sejmie. Na niewzruszonych fundamentach obu zasad, równowagi i realności budżetu nie wznoszono „nic z negacji, zwątpienia, bierności, biadolenia", lecz starano się o rzeczową, choćby ostrą krytykę, konfrontowano zamierzenia z doświadczeniami w terenie, ustalono właśnie hierarchię potrzeb, domagano się wzmożenia dynamiki czynu, byśmy jak najprędzej odrobili zaległości i życie gospodarcze, społeczne i kulturalne Polski wznieśli na wyższy poziom.

Była to pozytywna praca w Sejmie i tak też niewątpliwie będzie oceniana przez najszersze warstwy społeczeństwa."

Bezcelowe i szkodliwe

Demonstracje uliczne młodzieży akademickiej, jakie ostatnio w związku z antypolskimi wystąpieniami studentów niemieckich w Gdańsku miały miejsce w szeregu miast uniwersyteckich, z Warszawą na czele, skłoniły POLSKĘ ZBROJNĄ (nr. 58) do skreślenia szeregu merytorycznie słusznych uwag na temat tychże wystąpień:

„Rząd polski zawsze traktuje sprawy gdańskie jako zagadnienie bardzo poważne i nigdy nie zaniedbywał niczego, by rozwój stosunków polsko-gdańskich układał się we właściwy sposób. Tak samo i w sprawie ostatnich zajść rząd polski poczynił kroki, celem wyświetlenia całokształtu sprawy i zagwarantowania polskiej młodzieży możliwości odbywania w spokoju studiów na tamtejszej politechnice. Na straży interesów Rzeczypospolitej stoi stale i niezmiennie rząd polski.

Jest w najwyższym stopniu ubolewania godne, że młodzież akademicka pod wpływem nieodpowiedzialnych agitatorów dała się porwać do demonstracji i to w takiej formie, która może wyrządzić nawet słusznej sprawie jedynie złą przysługę. Wystarczy wskazać, że wroga Polsce propaganda natychmiast wykorzystała demonstracje warszawskie do prób szachowania polskiej polityki — łącząc demonstracje te z wizytą ministra spraw zagranicznych Włoch, hr. Ciano, bądź też z całokształtem stosunków polsko-niemieckich oraz ogólnym kierunkiem polityki rządu polskiego.

Jest rzeczą oczywistą — i fakt ten powinni sobie zapamiętać zarówno inicjatorzy tych demonstracji, jak ukrywający się w cieniu inspiratorzy— że takie czy inne manifestacie akademickie nie mają i nie mogą mieć żadnego wpływu na politykę zagraniczną rządu Rzeczypospolitej. W dzisiejszych czasach tak skomplikowanej sytuacji międzynarodowej, wymagającej jak największego skupienia sił i uwagi jest absolutnie niedopuszczalne, by pracy ludzi poważnych, odpowiedzialnych za bieg spraw państwowych, starano się przeszkadzać bezcelowymi manifestacjami, wykazującymi może młodzieńczy temperament, ale świadczącymi przy tym o braku rozsądku i rozwagi.

Przy okazji należy stwierdzić, że nieprzemyślane do końca i lekkomyślne akcje, do jakich zaliczyć trzeba wspomniane wyżej wystąpienia młodzieży akademickiej, są z radością dyskontowane przez różnych graczy politycznych w kraju i zagranicą, rozporządzających większą chytrością i przebiegłością polityczną, niż ławowierni demonstranci uliczni, nie zdający sobie sprawy z tego, na czyj rachunek prowadzą robotę".

Wobec ekspansji ideowej Niemiec

DZIENNIK POLSKI (nr. 58) wskazuje na coraz bardziej narastające wśród państw Europy wschodniej i południowo-wschodniej tendencje do przeciwstawienia się ekspansji ideowej, płynącej z Niemiec, dochodząc przy tym do wniosku, że do wzmocnienia zwartości i potęgi wewnętrznej tych państw, posiadających znaczny odsetek mniejszości narodowych, w żadnym wypadku nie przyczyni się szowinizm czy integralizm nacjonalistyczny. Pismo występuje przy sposobności przeciwko akcjom politycznym pewnych kół w Polsce, które — zapatrzone we wzory z zewnątrz — propagują idee, szkodliwe z punktu widzenia naszych interesów narodowo-państwowych:

„Są u nas pisma i publiści, propagujący równocześnie integralny nacjonalizm i zwalczający zasadę etnograficzną, jako wyłączną podstawę budowy państwa. Sądzimy, iż jest to wielkie nieporozumienie lub niekonsekwencja. Jeśli wyznaje się, jak w Niemczech, integralny nacjonalizm, to logicznym tego następstwem musi być stosowanie zasady etnograficznej, gdyż nie ma integralizmu narodowego w państwie opartym na zasadzie historycznej i geopolitycznej, w którego skład wchodzi pokaźny odsetek mniejszości narodowych. Dla Rzeszy doktryna integralnego nacjonalizmu jest niezwykle korzystna, gdyż Niemcy są państwem narodowo jednolitym, a zasada etnograficzna dała im możność zagarnięcia niemieckiej Austrii i Sudetów. Integralny nacjonalizm i zasada etnograficzna stosowana w państwach, leżących na wschód od Niemiec, musiałaby doprowadzić do rozsadzenia tych państw".

Uwagi te są słuszne, jak nie mniej słuszne są też i konkluzje pisma na omawiany temat:

„Dlatego, utrzymując najlepsze stosunki dyplomatyczne i handlowe z Niemcami, nie możemy przyjmować eksportu ich doktryny politycznej. Z tego powinni sobie zdać sprawę przede wszystkim ci, którzy przestrzegają społeczeństwo polskie przed niebezpieczeństwem germańskim, a równocześnie propagują skrajny integralizm nacjonalistyczny, dość rozmaicie formułowany, np. w haśle: katolickie państwo narodu polskiego. W interesie całości Rzeczypospolitej leży, aby nie robić różnic między Polakami obrządku rzymskiego i greckiego, ewangelikami i prawosławnymi. Tylko przy takim stanowisku zasadniczym można prowadzić pozytywną i skuteczną pracę nad umacnianiem polskości na kresach zachodnich i wschodnich. Tylko rozważna polityka narodowo-państwowa może sparaliżować wszelkie usiłowania, zmierzające do anarchizacji Polski pod pokrywką najpiękniejszych haseł i doktryn nacjonalistycznych, mniej lub bardziej wyraźnie czerpiących natchnienie z Niemiec".

NUMER POPRZEDNI 5—6 ZAWIERA:

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie. 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.

Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Korewo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.